

SZCZECIN

TYCODNIK WYBRZEŻA

ROK III

NIEDZIELA 18 LIPCA 1948 R.

NR 29 (103)

E. K. MICHAŁOWICZ

ZETORY JADĄ PRZEZ POMORZE

W Brnie, pięknej stolicy Moraw, jest opera, są trzy teatry, na których ani jednego złego wiersza nie zarobił by szczeciński krytyk, siedem klubów nocnych i dwadzieścia siedem kin. Jest poza tym to, co należy do większego miasta. Są więc magazyny, w których obejrzeć można wszystko ale kupić znacznie mniej, gdy się nie ma „listków”, sklepy w których jest pełno książek dla dzieci w bardzo przystępnej cenie, są boczne uliczki kręcące się za barokowymi kościołami i są arterie, żywe ruchem i pełne barw nowych sukni pań.

Ale są dwie takie sprawy w Brnie, które ciągną gościa ze Szczecina silniej niż inne: traktory i dźwigi. Traktory w zakładach „Zbrojówki” — „Zetory”, które jada już po pomorskich polach, i dźwigi, budowane dla nas w fabryce im. Gottwalda w Brnie. Traktory i dźwigi, które pilnym interesem związały dwa miasta: Szczecin i Brno.

Do „Zbrojówki” jedzie się z przed opery w Brnie tramwajem, i za sześć przystanków wysiada się przy starym, może nawet zabytkowym kościele. Tuż za nim jest kompleks nowych, białych betonem gmachów. Historia fabryki sięga pierwszej wojny światowej, kiedy robotnicy czeszy z wiedeńskich zakładów „Arsenału” tu właśnie przystąpili do pracy. Z początku naprawiano wagony kolejowe, w okresie wojny zakłady pracowały pod zarządem niemieckim, a o założeniu świadczy najlepiej pomnik wzniesiony ku czci tych, co polegali w obozach koncentracyjnych i w walce z okupantem. Na przeciw pomnika poległych jest pomnik pracy: Wykresy i statystyki, mówiące o założeniach i wykonywaniu planu przez „Zbrojówkę”.

niach i wykonywaniu planu przez „Zbrojówkę”.

Między tymi dwoma pomnikami wchodzi się na gościniec fabryczny, schludny, znowu biały nowym betonem i zielony rzędami trawników, a na gościnie, we wszystkich przejściach fabrycznych, między halami i budynkami administracji — setki, może tysiące nowych „Zetorów”. Niebieskie (mniejsze — piętnasto konne) i bure, te same co mamy już na Pomorzu (25-konne), a jeden czerwony, nowy, jeszcze nie produkowany seryjnie, (30-konny), o którym jeszcze będzie mowa.

Sprawa odbudowy, a raczej reorganizacji „Zbrojówki”, zakładów dziś państwowych, to przede wszystkim sprawa budowy traktorów, choć w „Zbrojówce” brneńskiej wytwarzają i maszyny do pisania, wagi precyzyjne, urządzenia kuchenne, lodówki itd. Traktory budują w Czechosłowacji i inne zakłady, ale „Zetory”, czyli własnie traktory „Zbrojówki”, są niewątpliwie najlepsze i w planie pięcioletnim, który zacznie się w roku nadchodzącym, tylko „Zbrojówka” produkować ma traktory dla Czechosłowacji i na eksport. Hale fabryczne trzeba było po części przebudować, po części wznosić na nowo i uzbroić w nowe maszyny, usuwając sprzęt zniszczony przez Niemców. Dziś zakłady pracują na trzy zmiany, zasadniczo po osiem godzin, ale w niektórych działach, ze względu na brak ludzi, pracuje się i po 10 i 12 godzin, by produkcja nie stanęła. W wzrastającej mierze zastępuje się też brakujące siły robocze kobietami, obowiążuje — rzecz najzupełniej jasna — równa płaca za równą pracę. Kobiety widzieliśmy przy pracy w dziale trak-



„ZETOR — 25” OPUSZCZA „ZBROJÓWKĘ” W BRNIE

Plan roczny Zbrojówki Brneńskiej przewidyuje produkcję 20.000 maszyn. Obecnie produkuje się 650 traktorów miesięcznie. W „Planie Pięcioletnim” który w Czechosłowacji zacznie się w następnym roku, produkcja traktorów koncentrować ma się głównie na „Zetorach” które najlepiej ze wszystkich zdały egzamin.

torów przy produkcji części precyzyjnych, szczególnie pompy wstrzykującej, tego skomplikowanego mechanizmu, z braku którego niejedyn traktor na Pomorzu nie był w stanie ruszyć.

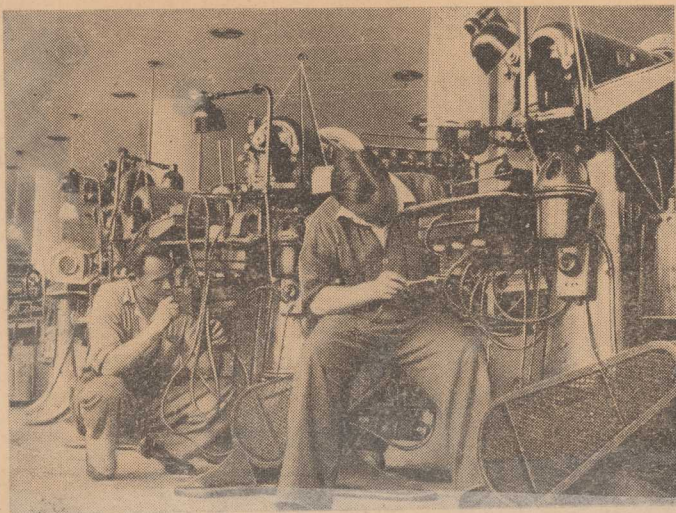
500 „Zetorów” czekało na dziedzińcu „Zbrojówki” na wyjazd do Polski. 500 nowych maszyn, które mają brać pod pług naszą ziemię na Pomorzu. 500 maszyn 25-konnych, najlepszych traktorów tego typu na świecie, traktorów, które niskim zużyciem paliwa na ha, wytrzymałością i jakością biją o głowę amerykańskie „Farmalle” i inne cuda. Otrzymaliśmy już „Zetorów” z 1.200 sztuk (dla całej Polski). 500 czekało na wyjazd. Ale nie tylko importujemy „Zetor 25”, będziemy je budowali sami w licencji.

„Zetor 25” uważany jest u nas za traktor na średnią glebę. Wolimy traktory cięższe, bardziej wydajne w naszych warunkach. Widzieliśmy pierwszy z nich, czerwony „Zetor 30”, nominalnie trzydziestokonny, o rzeczywistej sile motoru 35 koni mechanicznych. Typ pierwszy, wyprodukowany w Brnie, uzbudowany był w trzyskibowy pług, podnoszony za ruszeniem dźwigni mechanicznej startował za naciśnię-

dziestki” mamy u nas produkować w licencji.

I znowu, patrząc jak w Brnie „Zbrojówka” pracuje dla Czechosłowacji i dla nas, nie można zapominać o rzeczy najważniejszej we wszystkich polsko-czechosłowackich stosunkach gospodarczych, o sojuszu gospodarczym. Wyłania się w stosunkach polsko-czechosłowackich racjonalny i gospodarczo uzasadniony społeczny podział pracy całego wspólnego organizmu ekonomicznego. Organizm ten traktujemy jako całość, przy czym zarówno i my jak i Czesi zachowujemy całkowitą samodzielność gospodarczą i suwerenność polityczną. Społeczny podział pracy polsko-czechosłowackiego organizmu gospodarczego wyraża się przy tym nie tylko w wielkich projektach, jak budowę wspólnej elektrowni w Dworach czy planach kanału Dunaj—Odra, lecz w porozumieniu i zharmonizowaniu produkcji i inwestycji w poszczególne gałęzie przemysłowych obu krajów. Zasadą główną jest tu celowość gospodarza.

Jeżeli więc bierzemy „Zetory” z Brna, to dlatego że „Zbrojówka” tego typu



CZECHOSŁOWACKIE MASZYNY DLA POLSKI

W Zakładach „Baty” w Zlinie produkuje się obuwie, ale i opony dla „Zetorów” a

Nowe drogi pisarzy niemieckich

Od redakcji: Autorowi „Spraw Niemieckich”, które w szerszych ramach kontynuować mają prace rozpoczęte w „Dzienniku Berlińskim”, oddajemy głos na kilka tematów zasadniczych związanych z obecnymi Niemcami. Zaczynamy cyklem o pisarzach niemieckich. Artykuły nie wyczerpują całości zagadnienia, ich celem jest dostarczenie informacji i poglądów. Jeżeli zdołają wywołać dyskusję, lub chociażby pobudzą do zastanowienia się, cel swój spełnia.

niewątpliwie najlepsze maszyny swego typu na świecie, o czym mogliśmy się sami przekonać porównując „Zetora” choćby z „Farmallami” emerykańskimi. A że na długą metę produkcja „Zbrojówek” nie wystarczy dla pokrycia naszego potrzeb w takiej mierze i w takim zakresie, jaki jest konieczny dla wykonania naszych planów na odcinku rolnictwa, bierzemy budowę „Zetora-trzydziestki”, (lepszego od „25” w naszych warunkach), w licencję. Korzyści są tu obustronne. Nam przybędą kadry fachowe i maszyny potrzebne do wykonania planu, a wiadomo, że w sojuszu gospodarczym siła jednego z partnerów jest siłą drugiego, a słabość jednego osłabia drugiego.

Łączy nas więc z Czechosłowacją nie tylko port, nie tylko morze i wspólne zamiary i cele w polityce morskiej i tranzytowej.

Traktor, to symbol silnego rolnictwa. Jeżeli w Czechosłowacji żywności nie jest jeszcze pod dostatkiem, to skąd jej nie brać jak od nas, skąd jej nie importować jak nie z Polski? Czeski „Zetor” na pomorskiej ziemi pracuje więc dla nich, tam w dole na Morawach. Wiedzą o tym i oni i wiemy my. Zapłecze rolnicze portu szczecińskiego potrzebuje sił do pracy. Ręk nie zbraknie, brak nam sił pociągowych, koni i traktorów.

Gdy jechaliśmy na Morawy, na łąkach pomorskich pachniało siano. Sianokosy właśnie się zaczęły. Tak samo siano pachniało na Morawach. U nas także często jeszcze kosiarze, na ogół zaś kosiarzy w zaprzęgu konnym brały siano z łąk. A tam, w „Zbrojówce” brnęskiej, stają rzedami traktory uzbrojone w boczne, przymontowane kosiarzy, z wydajnością przeciętną jednego ha na godzinę. Przyjdą i do nas. Dzisiejsza produkcja „Zbrojówek” nie jest jeszcze w stanie pokryć wszystkich zapotrzebowań. Dziś za traktorami krzyczą każdy, zza traktora wszystko na świecie kupisz. Ale „Zetory” jadą do nas, na pomorskie pola. Jest ich narazie może mało, jest ich na razie jeszcze nie dość. Ale będą. Muszą być.

W ramach współpracy polsko-czechosłowackiej stworzono sieć komitetów branżowych i innych wspólnych organów, których zadaniem jest badanie i wzajemne poznanie możliwości, zamiarów i potrzeb obu stron. Mija właśnie rok od zawarcia między Polską a Czechosłowacją umowy o współpracy gospodarczej. W ciągu tego roku komitety polsko-czechosłowackie poznały wzajemne potrzeby i możliwości i plany. W ciągu tego roku zarówno u nich jak i u nas utrwaliło się na konkretnych przykładach praktyki codziennego życia gospodarczego przekonanie o przełomowym charakterze polsko-czechosłowackiej umowy gospodarczej. Wielkie plany dojrzejają na ogół dłużej i więcej czasu upływa, zanim realne ich wyniki uchwytnie są w postaci realnych korzyści. Na mniejszych odcinkach obserwujemy już korzyści współpracy polsko-czechosłowackiej na odcinku gospodarczym, choćby właśnie w dostawie pierwszej serii „Zetorów” na Pomorze i w dostawie butów Baty, który zresztą nie tylko produkuje obuwie, lecz i opony dla naszych „Zetorów”. W ciągu minionego roku ściślej współpracy gospodarczej wyjaśniły się również perspektywy dalszego zacieśnienia współpracy. Również i ten rozróżny możemy zaobserwować na „Zetorach”: narazie bierzemy je w ramach eksportu z Czechosłowacji, będziemy je w dalszym etapie produkowali u nas sami, w ramach licencji.

Wchodzimy już w dziedzinę wymiany doświadczeń przemysłowych. Ze współpracą poszczególnych gałęzi obu przemysłów wchodzimy w dziedzinę wspólnych inwestycji.

„Zetor”, to może, biorąc sojuszy gospodarczy polsko-czechosłowacki, jako całość, tylko mały odcinek współpracy. Ale w skali naszego rejonu dźwigi, budowane dla portu szczecińskiego w fabryce im. Gottwalda w Brniej „Zetory”, z „Zbrojówkami”, to dobry wzór, jak należy odbudowywać Europę.

E. K. Michałowicz

Nawet analiza „czystej” literatury niemieckiej jest dziś sprawą polityki, szczególnie u nas w Polsce, gdzie po pierwsze mało wiemy o Niemcach dzisiejszych, i gdzie — co jest jeszcze bardziej znamienne — w gruncie rzeczy mało chcemy wiedzieć o Niemcach. Wielu ludzi w Polsce wydaje się, że skoro wygraliśmy wojnę z Niemcami, skoro trwa (narażenie) okupacja i skoro stędzimy już mocno nad granicą Odry i Nysy, to tym samym problem niemiecki przestał dla nas istnieć. A tymczasem po tamtej stronie Odry ludzie, w okresie trzech lat po klęsce systemu i państwa mieli już czas zastanowić się nad tym, co się z nimi stało i — rzecz kardynalna — zabrali się do usuwania gruzów moralnych. Inaczej to się odbywa na zachodzie, inaczej na wschodzie Niemiec. Nie brak zapewne neofaszystów w strefie radzieckiej w Niemczech, tylko w tym sensie że tam nie mają już wpływu na kształtowanie opinii, nie brak też szczyrzych demokratów na zachodzie Niemiec, tylko w tym sensie, że tam właśnie im nie wolno mieć wpływu na opinie niemieckie.

Więc są tarcia. Odbijają się one nie tylko na płaszczyźnie alianckich władz okupacyjnych. Tarcia te trwają wśród samych Niemców, na nich kształtuje się obraz życia niemieckiego. W miarę, jak spory stają się co raz ostrzejsze, obejmują one co raz więcej ludzi.

Zarysujecie się profil tych ludzi. Dziś w Niemczech człowiekowi pióra, tak samo jak politykom, bezczelność nie uchodzi bezkarnie. Albo wstanie i wypowie się „za” czy „przeciw”, albo o nim zapomną.

Nie wszyscy z piszących i tworzących Niemców są w Niemczech obecni. Albo zgineli, albo na skutek zakazów hitlerowskich przedwcześnie przestali pisać, zostawiając jedynie rzucone myśli i zaczątki programu literackiego. Liczni pisarze niemieccy z różnych względów trwają na emigracji. Wydawcom i politykom społecznokulturalnym w Niemczech zależy jednak na rozprawieniu dzieł niektórych pisarzy emigracyjnych i prawie wszystkich twórców nielegalnych. W Niemczech (w przeciwieństwie do nas) jest rzeczywistość głód książki. To też ukazały się ostatnio liczne antologie.

Jeszcze inny cel przyswiesca Niemcom na odcinku kulturalnym, któremu służyc mają antologie, wydane bądź w Niemczech, bądź za granicą: Niemcy chcą dziś udowodnić, że era hitleryzmu była okresem pustki kulturalnej. Chcą namacalnie wykazać, że budując nowe Niemcy, nie zaczynają od dziś, że słusznie mogą się powołać na wczoraj, choćby było ono skromne. A jeżeli nasze wczoraj, uznają się za skromne, — tak twierdzą Niemcy — to niech inni wiedzą, że tak stało się nie z naszej winy, tylko z winy systemu, który tepił odruchy piśmiennictwa.

Nam Polakom, jakby nie było silnie zainteresowanym w rozwoju nie tylko polityki ale i literatury w Niemczech, pozostanie ocenić, jak dalece Niemcy mają rację, twierdząc, że w odróżnieniu swoim mogą nawiązać do bogatego nazwiskami i treścią grona pisarzy emigracyjnych i nielegalnych. Zanim wydamy sąd, warto się z pisarzami niemieckimi zapoznać.

ANTOLOGIA „DAWNYCH”

Byli w Niemczech siły postępowe, byli w Niemczech przedhitlerowskie pisarze, którzy mogą służyć za wzór nowym Niemcom. Podkreślić trzeba słowo „mogą”. Ze byli, to prawda, ale któż ich wtedy znał, któż ich słuchał, jaka garstka szła za ich głosem. Dziś znowu przedstawiono ich czytelnikowi niemieckiemu, i kto wie, czy antologia dawnych, która ukazała się p. t. „Dies wolno nam mówić” (Vom Schweigen befreit), nie znajdzie dziś więcej czytelników niż kiedykolwiek znalazłby w republice weimarskiej pisarce, których dzieła ona obejmuje.

A kto u nas zna ich nazwiska? Kto u nas czytał Däublera, Hasendevera, Harringera, Berta Brechta, (do którego wypadnie — powrócić) Klabunda, Hassego, Franza Werfa (chyba z „Przekroju”) i Ernsta Tollera. Rozgrzesza nas może fakt, że skoro Niemcy mało na nich stawiali, nie mieliśmy i my obowiązku poznania ich lepiej. Tak było kiedyś, ale i dziś, skoro częściowo znani są za granicą, a pozatem stawa ich się za przykład nowej generacji pisarzy, czy nie warto zapoznać się z ich treścią społeczną, linią literacką i programem?

Są to wszystko nazwiska, po których — jak mawiano w berlińskich przedhitlerowskich kołach literackich — przejechało się już pióro recenzenta, którzy weszli do historii literatury niemieckiej do roku 1933. Ale mimo tej „marki”, jaka posiadają ci autorzy, czytającego dziś ich wiersze i utwory — wówczas uchodzące za rewolucyjne w treści i formie — uderza, jak bardzo ich język i tematyka stała się obca i daleka. Przełom w literaturze niemieckiej po pierwszej wojnie światowej był co prawda ostrzejszy niż dziś po kapitulacji w drugiej wojnie. Ale to przełom indywi-

pisarza, a w każdej pisarskiej skórze na inny sposób. W rzadkich tylko wypadkach odczuwali modernistyczni niemieccy z lat dwudziestych to, co dziś porusza ludzi. Do tych

SPRAWY NIEMIECKIE

CZARNO-CZERWONO-ZŁOTA BANDERA

Bez echa przeszedł w prasie polskiej fakt, że niemiecka Rada Ludowa w Berlinie przyjęła jako nowe barwy niemieckie chorągiew czarno-czerwono-złotą.

Barwy te mają tradycję — i piękną i mniej piękną.

Przed Wiosną Ludów barwy czarno-czerwono-złote były w Niemczech barwami sił postępowych i radykalnej młodości akademickiej, barwami tych grup, które walczyły z degenerującymi się rządami dworów królewskich i książęcych. W Wiosnie Ludów lud berliński pod czarno-czerwono-złotymi barwami poszedł na barykady; obok młodych barw niemieckich jakże często powiewały przed stu laty na barykadach Berlina i innych miast Niemiec chorągwie biało-czerwone Mierosławskiego i innych patriotów polskich, którzy wespół z ludem niemieckim walczyli przeciwko tyranii.

A kiedy w Berlinie roku 1848 — pod kulami królewskiej żandarmerii padli robotnicy, lud berliński zmusił króla Fryderyka Wilhelma by się zmarłym na dziedzińcu zamkowym poklonił. Zmuszono go również by przepasany szarfą czarno-czerwono-złotą, przejechał się konno bez wojska przez miasto, klanając się ludowi.

Taka jest piękna tradycja tych barw. Były barwami postępu i zawsze bywały w Niemczech przesładowane.

Potem, gdy po pierwszej wojnie przysłała Republika Weimarska, przybrała ona barwy czarno-czerwono-złote za barwy państwowe.

Ale tu zaczyna się tradycja mniej piękna...

Na banderze czarno-czerwono-złotej pozostały z tego okresu plany zdrady ideałów postępu. To bowiem socjaliści niemieccy nadali te barwy swym bojówkom z pod znaku „Reichsbanner”, które na równi z hitlerowcami umiały rozbijać manifestacje robotnicze, przesładować mniejszości narodowe w Niemczech i patronować programowi zbrojni na morzu i wyborów Hindenburga na prezydenta Rzeszy.

Dziś lud niemiecki — to znaczy ci, z Niemców, którzy aktywnie walczą o nowe Niemcy — mogą na usprawiedliwienie powiedzieć, że oni sami barwy czarno-czerwono-złote nie splamili, ale pamięć złej tradycji pozostała. Tym większy posiadają Niemcy obowiązek, by barwom tym wrócić ich honor i blask z przed stu lat.

Nie łatwa to tradycja. Czarno-czerwono-złota może być flagą szanowaną i poważaną wśród ludów świata. Od Niemców samych zależy, jak dalece to się stanie, jak dalece czyniami zrealizują szczytne tradycje Wiosny Ludów.

NIEMCY A MY

Są w Niemczech zachodnich czynniki złośliwe i nieprzejednane, które, gdy o Polskę chodzi, nie przepuszczają żadnej okazji, by na nas wylewać kubły kłamstw i organizować kampanie antypolskie. Pomagają im stale różne czynniki anglosaskie, i nieraz nie wiadomo, kto od kogo czerpie natchnienie: czy „korespondenci” amerykańscy od Niemców, czy Niemcy od nich.

Ich jedyne lekarstwo na wszystkie bóleczki niemieckie, to „oddać Ziemię Zachodnią”; stara to w niektórych kołach niemieckich tradycja. Skoro brak koncepcji na usuwanie niedociągnięć w polityce wewnętrznej, trzeba odwró-

wyjątków należy żyjący w Szwajcarii Bert Brecht. Tylko nieliczni z pisarzy niemieckich okresu republiki weimarskiej przezwali rozwój nadchodzących wielkich wydarzeń. Od tamtych czasów, od ich odkryć i przeżyć społecznych dzieł nas inne poczucie życia zaborowe, inna odpowiedzialność wobec czasów które idą, inny klimat uczuciowy, a przede wszystkim inny klimat społeczny.

(Dokończenie na str. 9)

Takich chyba nie przekonamy. Ale dobrze się stało, że ostatnio była w Polsce wycieczka demokratycznych dziennikarzy niemieckich z Berlina, którzy sami, naocznie mogli się przekonać o rozmiarach zniszczeń, spowodowanych w Polsce przez armie niemieckie, o rozmachu naszej odbudowy i o stanie zagospodarowania Ziemi Zachodnich. Dziś, śledząc kampanie antypolskie w pewnym odcamie prasy niemieckiej, widzimy coraz częściej, że od czasu do czasu ktoś z Niemców, który był ostatnio w Polsce, zaprzeczy kłamstwom. Ale nie ludźmy się, że jedni Niemcy przekonują do reszty drugich, sprawa to nie tak łatwa.

Tym, co chcą wiedzieć i uwierzyć, bo otwarte mają umysły, sami myślą i sami się zastanawiają, wystarczy pokazać rzeczywistość. Tych co za żadne skarby wierzyć nie chcą, nie warto przekonywać — przekonają ich fakty.

I wtedy będzie jak z Gdynią przed wojną: O Gdyni w Niemczech milczano. „Totschweigen” — taką był rozkaz. Aż nagle milczenie nie można było, bo Gdynia stała się największym portem na Bałtyku. Wówczas w czytelników niemieckich jakby kto młotem uderzył, a Gdynia w ich oczach urosła jeszcze większa, niż nią była w rzeczywistości.

Polska — jak wykazuje praktyka — nie odcina się od gospodarczej wymiany z Niemcami. Niemcy Polski potrzebują. Im prędzej wszyscy zechcą zrozumieć prawdę o Polsce i Ziemiach Zachodnich, tym lepiej dla nich.

POMOC DLA MAŁYCH HITLEROWCÓW?

Ostatnio, omawiając dziwną ewolucję w sądownictwie niemieckim, które w Bawarii np. bierze w obronę aktywistów i łagodzi wyroki na nich ferowane, bo przecież „nie mając hamulców moralnych nie są w pełni odpowiedzialni za swoje czyny”, zastanawialiśmy się nad tym, czy wobec tego nie oplaca się być w Bizonii „aktywistą”. Zastanawiamy się nad tym po raz wtóry, albo wiemy jak się okazuje, warto być na zachodzie Niemiec w ogóle hitlerowcem, małym czy wielkim. Otrzymałszy informację, że dziennik „National Zeitung” ogłosił publiczną zbiórkę pieniędzy na pomoc dla „byłych szeregowych partii narodowo-socjalistycznej”.

Gdyby sprawa nie była poważna, gdyby nie było w tym metody, można by się pośmiać. Nie chciał się jednak śmiać związek ofiar faszyzmu w Niemczech, który uderzył w stół i zmusił „National Zeitung” do odwołania zbiórki.

Cała sprawa ma dwa zasadnicze aspekty: Im trudniejsza jest sytuacja międzynarodowa w sprawie Niemiec, im bardziej zasadnicze są różnice poglądów na tematy niemieckie między okupantami, tym natężenie problemu „małego hitlerowca” wypływa na łamach prasy. Za balagan w Bizonii zwała się odpowiedzialność na elementy demokratyczne, ofiarowując zawsze usługi „fachowych, choć hitlerowców”.

Otóż Niemcy nie obejdą się w pracy swej bez milionów ludzi, którzy byli członkami partii czy jej organizacją. Nie obejdą się bez ich wysiłku. Ale o losie hitlerowców małych nie mogą decydować wielcy hitlerowcy ani monopolisti zagraniczni, którzy się nimi postugują.

W tym leży różnica między denazyfikacją w strefie radzieckiej Niemiec,

PROFILAKTYKA MARYNISTYCZNA ?



W końcu maja rb. odbyło się w Gdańsku kilka uroczystości w związku z otwarciem w dn. 30 maja Państwowego Muzeum Gdańskiego. Otwarcia dokonał wiceminister Sokorski, który wygłosił obszerny, programowe przemówienie o roli polskiej sztuki w odbudowanym Gdańsku. Z okazji pobytu min. Sokorskiego odbyły się w Sopocie dwa duże zgromadzenia z udziałem czynników politycznych, społecznych i artystycznych wybrzeża gdańskiego, mianowicie: nadzwyczajne posiedzenie Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Sztuki i Kultury Artystycznej, oraz zebranie towarzyskie w salonach Grand Hotelu. Na obu tych zgromadzeniach min. Sokorski obzernie omówił sprawy, dotyczące nowej linii Ministerstwa Kultury, nowych form organizacyjnych Ministerstwa, oraz, co szczególnie interesowało zebranych, — przedstawił obraz zmian przewidzianych w układzie artystyczno-kulturalnym wybrzeża, naturalnie ze szczególnym uwzględnieniem zamierzeń w stosunku do Gdańska i regionu gdańskiego.

Oświadczenia min. Sokorskiego, zarysujące wybitną rolę miast wybrzeża w szerzeniu kultury artystycznej posiadały ogólnopolskie znaczenie, zarówno z tego względu, że zagadnienia lokalne zostały bardzo ściśle powią-

zane z ogólną polityką upowszechnienia kultury, jak też i dla tego, że szereg zagadnień artystycznych, zlokalizowanych w Gdańsku, uzyskuje samo przez się bardzo szeroki „wydźwięk”, — jak to ostatnio się coraz częściej w tego rodzaju wypadkach mówi. Jest to zrozumiałe, gdyż znaczenie niektórych związanych z Gdańskiem zagadnień artystycznych wykracza zdecydowanie poza zakres spraw lokalnych Wybrzeża i Pomorza, mając zakres nie tylko ogólnopolski, ale poniekąd światowy. Tak np. wieścią krzepiącą duszę artystyczną u każdego kulturalnego człowieka, a szczególnie europejskiego, było oświadczenie ministra Sokorskiego o odbudowie kościoła Mariackiego w Gdańsku (nie wiadomo dlaczego nazywanego uprzednio „Katedrą Morską”), oraz o planach odbudowy: starego Gdańska. Szeroki oddźwięk w całej Polsce budzą zapowiedzi odbudowy teatru w Gdańsku, oraz przejęciu na etat Ministerstwa miejscowej orkiestry symfonicznej, tzw. „Filharmonii Bałtyckiej”. Zagadnienia te zostaną zapewne w „Szczecinie” należycie potraktowane przez tutejszych przedstawicieli i znawców życia kulturalnego i artystycznego z dużą korzyścią dla lokalnej organizacji tej dziedziny życia.

Ograniczę się tu do bardziej szczegółowego przedstawienia jednego fragmentu opinii, wypowiedzianych przez min. Sokorskiego w związku z projektami miejscowego środowiska literackiego uaktywnienia życia kulturalnego na Wybrzeżu.

Przy poruszaniu tego zagadnienia min. Sokorski wyraził pogląd swój (zapewne i Ministerstwa) co do sprawy marynistyki w Polsce. Odnośny ustęp oficjalnego tekstu sprawozdania wg Nr 151 Dziennika Bałtyckiego (z dnia 3 czerwca 1948) brzmi jak następuje:

MARYNISTYKA — „CHOROBA MŁODOŚCI” KULTURY

„Przechodząc do spraw profilu kulturalnego Wybrzeża, min. Sokorski wypowiedział się przeciwko pewnej przesadzie, z jaką traktuje się tu i

ówdzie: twórczość marynistyczną i w ogóle ambicje „morskości” w kulturze. Ob. wiceminister uznał za naturalne, że z biegiem czasu, dzięki dłużej bliższemu współżyciu z morzem, zaznaczą się będzie jego motywy coraz wyraźniej w kulturze i sztuce Wybrzeża. Nie jest jednak słuszne, aby wszystko w kulturze nadmorskiej miało „ukłon” (nachylenie) przesadnie marynistyczny, oznaczałoby to swoistą „chorobę młodości” naszej nowej kultury. Wybrzeże żyje problematyką o wiele szerszą. W przyszłym piśmie literackim, którego potrzebę słusznie się tu odczuwa, powinna — w formie możliwie, choć znowu nie przesadnie popularnej — dojść do głosu nie tylko cała bogata rzeczywistość artystyczna, kulturalna i społeczna szerokiego terenu Przymorza od Szczecina po Elbląg, ale również zagadnienia ogólnopolskie i ogólnoludzkie.”

Nie mogę się zgodzić bez zastrzeżeń ani na tak sformułowaną diagnozę min. Sokorskiego, ani na wynikające stąd zalecenia profilaktyczne*).

Tak wytrwamy znawca zagadnień upowszechnienia kultury, jakim jest minister Sokorski nie może, naturalnie, nie doceniać waloru marynistyki w kulturze artystycznej, szczególnie w plastyce i w literaturze. Jeżeli tak ostro potraktował marynistykę polską — to musiała to być zupełnie naturalna reakcja wrażliwego obserwatora na obecny stan naszych osiągnięć w tej dziedzinie, graniczący z daleko posuniętym prymitywem. Jednocześnie, zapewne, zaznaczył się tu „stan wrześnie”, do którego może doprowadzać nieustanne odmiennianie wyrazu „morze” we wszystkich przypadkach oraz tworzenie najdziwniejszych skojarzeń, jak np. choćby cytowane już wyżej przechrzcenie dostojnej, starej i znanej na całym świecie świątyni Mariackiej na wyskakującą z nagle — jak Filip z Konopii — „Katedrę Morską”.

Marynistyka polska, moim zdaniem, znajduje się jeszcze w bardzo wczesnym stadium rozwoju, gotów jestem

zastosować poniekąd określenie min. Sokorskiego:

„PRZECHODZI CHOROBY DZIECINNE”

ale nie mogę jednak dopatrzeć się nigdzie, ani na Wybrzeżu, ani tym bardziej w Stolicy „przesady, z jaką traktuje się tu i ówdzie twórczość marynistyczną i w ogóle ambicje morskości w kulturze”. Proszę mi wymienić naszych marynistów plastyków i marynistów literatów? Ilu jest, gdzie są oni i jaka jest ich produkcja? Gdy się do mnie zwracają z prośbą o wymienienie kilku utworów literackich marynistycznych w języku polskim — mam zawsze wielką trudność w podaniu autora i tytułu, szczególnie jeżeli chodzi o lekturę dla szerokiego warstw, lekturę dla młodzieży, lekturę, która by posiadała niewątpliwie walory artystyczne czy dydaktyczne, jednym słowem walory takie, jakie posiadają książki H. Melville („Typee”, i „Moby Dick”), R. H. Dana („Dwa lata pod masztem”) H. de Monfreida (Przygody morskie), Sobolowa (Remont kapitalny), nie mówiąc już o Conradzie i Londonie, czy dawniejszych opowieściach dla młodzieży, Stevensona, Maine Reide’a, czy Verne’a. W literaturze rosyjskiej, angielskiej, a nawet francuskiej i niemieckiej możemy odszukać dziesiątki pozycji, obejmujących podróże morskie, wielkie wyprawy badawcze, życiorysy odkrywców i podróżników, epos codziennego wysiłku rybaka i żeglarska. Literatura ta jest doskonałą strawą dla młodzieży, której otwiera szerokie horyzonty, a jednocześnie kształci wolę, niezbędną do pokonywania wielkich przeszkód, uczy orientacji w zawilonych sprawach żeglugi i dużego środowiska portowego.

— Na czym się może kształcić nasza młodzież w zakresie marynistycznym? Nie mamy nawet przyswojonej terminologii morskiej. Nie mamy tłumaczeń klasycznych dzieł marynistyki rosyjskiej i angielskiej. Jeżeli więc można mówić o dużej przesadzie marynistycznej, to chyba tylko o przesadzie drobnych ambicji, hałaśliwych hasel, mętnych teorii o wszechpotędze i wszechznaczeniu morza. W odniesieniu do tych spraw i zjawisk program profilaktyki min. Sokorskiego może być stosowany zarówno w powodzeniu jak pożytkiem. Natomiast prawdziwa, rzetelna marynistyka polska w istotnym tego słowa znaczeniu, ma prawo oczekiwać od Ministerstwa Kultury i jego Kierowników i przedstawicieli zarówno zrozumienia, jak i pomocy. Sądzę, że gdańska wypowiedź min. Sokorskiego w ten właśnie sposób rozumieć można i należy.

Czas jest wobec tego poruszyć na łamach „Szczecina” sprawę uruchomienia „Biblioteki Marynistycznej”, składającej się na początek z przekładów dzieł obcych uznanych za klasyczne w tej dziedzinie. Torowało by się w ten sposób drogę również pionierom marynistyki rodzimej, których należy zachęcić w pierwszszym rzędzie do opracowania życiorysów wielkich odkrywców i podróżników. Sprawy te były przedmiotem wymiany zdań autora tych uwag z min. Dyboskim podczas pobytu Ministra w Szczecinie i spotkały się z wyraźnym zainteresowaniem Kierownika Resortu Kultury i Sztuki.

*) Profilaktyka — nauka o zapobieganiu chorob; wyraz pochodzi z greckiego (prophylaxo).

STANISŁAW URBANECZYK

O POCHODZENIU NAZWY SZCZECIN

Moja „wycieczka językoznawcza po Pomorzu” („Szczecin” nr 15-16) wywołała list p. Wacława Kozłowskiego, poświęcony nazwie SZCZECIN (nr 20). Autor dorzucił, a raczej przypomniał jeszcze jedną etymologię tej nazwy. Spoczywała ona w zapomnieniu w książce „Pommern in Wort und Bild”. Powiem od razu szczerze, iż to zapomnienie było całkowicie uzasadnione. Według tej nieszczęśliwej etymologii ma SZCZECIN pochodzić od czasownika TETI „ciec, płynąć”. Cała rzecz w tym, że takiego czasownika nigdy nie było; był tylko prasłowiański czasownik TEKTI, czyli później w językach zachodnio-słowiańskich TECY, z czego następnie staropolskie CIECY i nowopolskie CIEC.

Znika więc to uwodzące zewnętrzne podobieństwo między STETINEM a tym rzekomyim TETI. Nazwy od tego pierwiastka co w CIEKĘ-CIEC rzeczywiście istnieją, ale zupełnie inaczej wyglądają, mianowicie STOK, STOCZEK, CIECZ, NIECIECZA, CIEKLIN. STOK, a w dawniejszej postaci ISTOK, oznaczał źródło (każdy kulturalny Polak pa miętać powinien powiedzenie Kochanowskiego w Odrzawie posłów greckich o „Idzie stokorodnej”, t. j. obfitej w STOKI „źródła”).

Inną ciekawą nazwą do tejże rodziny należąca, jest SANTOK, co w normalnej polskiej ortografii powinno być pisane SATOK, podobnie jak SASIAD, SASIEK, SAPOLNO. Cząstka SA — znaczyła tyle co „razem”, więc SATEK

SANTOKU u zbiegu Warty z Notecią. Położeniu Szczecina odpowiadałaby najlepiej nazwa ROZTOK, skoro się tam Odra rozdziela, niestety jednak zapisy STETIN czy STITIN stanowią na to nie pozwalają. Tak czy owak, trzeba zrezygnować z prób łączenia SZCZECINA z czasownikiem CIEC.

Z dwóch przeze mnie opisanych etymologii SZCZECINA żadna nie zadowolila p. Kozłowskiego. SZCZYTNIO uznał wprawdzie za nazwę możliwą, odpowiadającą położeniu Szczecina na pagórkach-szczytach, ale droga od SZCZYTNA do SZCZECINA wydaje mu się zbyt zawiłą i mało prawdopodobną. Może ma rację, sam wskazywałem na trudności. Drugą etymologię gani p. K. jako zbyt naiwną, wywodzącą nazwę od legendarnego przodka, jakiegoś SZCZOTY czy SZCZECI, podobnie jak naiwne jest wywodenie WARSZAWY od legendarnego WARSA i SAWY. Sceptycyzm ten do pewnego stopnia godny jest pochwały, bo istotnie bardzo często grzeszono, doszukując się u źródła nazw miejscowych jakichś osobliwych zdarzeń, powiedzeń czy osób. Tego rodzaju naiwne poszukiwania mają nawet w nauce osobną nazwę etymologii etiologicznych (po grecku AJTLJA znaczy „przyczyna”). Nie wynika jednak z tego, że nigdy nie wolno wprowadzać nazwy od założyciela czy właściciela. Przeciwnie, mamy wiele konkretnych dowodów, że tak było, olbrzymia też część nazw w ten właśnie sposób powstała. Mówiłem o tym w swoim artykule, być może jed-

-INA, -INO, nadto nazwy jak WROCLAW, RACIBORZ, SANDOMIERZ i inne. KRAKÓW prawdopodobnie została założony przez jakiegoś KRAKA, legendą jest tylko to, co się o tym Krakowie opowiada. Tak i SZCZECIN zupełnie dobrze może pochodzić od ludzi nazwiskiem SZCZOTA czy SZCZEC. Podobieństwo tych wyrazów do SZCZECINA i do zapisów STETIN wzrosnie, gdy sobie uprzytomnimy, że kiedyś SZCZOTA miała postać SZCZETA, lub SZTETA (tak jak zamiast SZCZUCIN mówią okoliczni chłopcy SZTUCIN, lub mazurek: STUCIN); SZCZEC — to dawniejsza SZTETJ (pisownia to zresztą niedokładna z braku odpowiednich czcionek). Od obu tych wyrazów przymiotnik dzierżawczy oznaczający posiadanie musiał brzmieć kiedyś SZTETIN, a w polskiej wymowie SZCZECIN. Są to rzeczy nie podlegające dyskusji. Nauka nie może tylko powiedzieć stanowczo, że niemożliwa jest jakaś inna etymologia, np. od Szczytna (ktos może znaleźć jeszcze inną etymologię?) Będzie już rzeczą indywidualnych upodobań uczonych, za którą z możliwości się opowiedzą. Chyba jednak żaden nie poprze etymologii od TETI.

Przy sposobności uwaga marginesowa: w pracach niemieckich bardzo często się napotyka fantastyczne wyjaśnienia nazw słowiańskich. Typowym przykładem było tłumaczenie nazwy KYNAST jako CHOJNASTY. Trzeba więc korzystać z niemieckich źródeł ostrożnie, nawet gdy nie są zarazem tendencją.



Pomorze Zachodnie w poglądach historycznych Jana Długosza

(dokończenie)

Długosz w wielu istotnych szczegółach odbiegł od swego wzoru i zaopatrzył swoje opowiadanie całym szeregiem uwag moralizatorskich i postulatów propagandowych, zmierzających świadomie do wykazania, jakim winien być stosunek lennika do króla. W naszym wypadku, jak widzieliśmy, stosuje się do szczególnie do książąt kaszubskich i pomorskich. Oni to w jego pojęciu powinni świecić przykładem w przywiązaniu i wierności do Korony Polskiej, powinni być jej lennikami. Nie może ulegać wątpliwości, że nauka ta wywoływała u czytelników skojarzenie ze stanem aktualnym.

Na tym idealnie zarysowanym tle, którego zasadę stanowi pogląd o łączności terytorialnej i politycznej Pomorza z Polską i osobistej wierności tamtejszych władców wobec królów polskich, trzeba interpretować wszystkie wzmianki Długosza o Pomorzu i książętach pomorskich. Przy każdej sposobności dawał kronikarz wyraz swemu przekonaniu, że dynastia pomorska wywodzi się z pnia polskiego, ziemia zaś pomorska jest częścią państwa polskiego, a zatem powinna do niej jak najrychlej wrócić.

W jednym z swych pierwszych dzieł, znanym pod tytułem: BANDERIA PRUTENORUM, w którym opisał wszystkie chorągwie zdobyte przez wojsko polskie w bitwie pod Grunwaldem w r. 1410 zaznaczył ten swój punkt widzenia przy opisie chorągwi księcia szczecińskiego Kazimierza. Czytamy u niego: „Chorągiew Kazimierza, księcia słupskiego czyli szczecińskiego, którą sam ów książę Kazimierz z swego wojska prowadził nie bez największego wstydu i hańby swojej, imienia swego, ludu, narodu i współplemieńców tego samego języka, zwiedziony przekłętą żądzą złota, zhańbiwszy na wieki siebie, ród swój i pokolenie, w wewnętrzności własne wbiwszy miecz, powstał zbrojnie z całym swym ludem, kto tylko miecz mógł unieść, przeciw własnej Ojczyźnie i Królestwu Polskiemu, z którego on sam i przodkowie jego pochodzili i z którego żyłi”. Stwierdziwszy, że z łaski króla Władysława został uwolniony, nie mógł się nasz kronikarz powstrzymać od jeszcze jednej apostrofy, mianowicie, iż „tylko ten, a żaden inny (z książąt pomorskich) sprzymierzony i spokrewniony nie podniósł broni przeciw Ojczyźnie”.

Widoczne jest, że w oburzeniu na Kazimierza Długosza obok zwykłej w tych razach nieprzychylności wobec nieprzyjaciela zasadniczą rolę grało przeświadczenie, że książęta pomorscy, bardziej, niż kto inny, powinni służyć Polsce. Wszelkie zaś wystąpienia przeciw niej z bronią w ręku należy w tym wypadku napiętnować, jako bunt i zdradę własnej Ojczyzny.

ZABIEGI O WŁĄCZENIE POMORZA DO POLSKI

Mimo to, Długosz zdawał sobie sprawę, że wbrew tym moralnym zobowiązaniom książąt pomorskich wobec Polski, rzeczywistość układała się nieco inaczej. Książęta pomorscy byli samodzielnymi panującymi, a kraje ich leżały poza granicami państwa. Jak wiadomo, jedynie Ziemia Słupska w ściślejszym tego słowa znaczeniu od roku 1390 pozostawała w zależności lenne od Korony Polskiej, natomiast książęta szczecińscy i wołogojscy byli związani z Polską dość luźnymi węzłami sojuszu i przymierzy, które, zależnie od sytuacji politycznej różną posiadały



ZAMEK SZCZECIŃSKI
W ŚREDNIOWIECZU

wartość. Na kartach jego kroniki spotykamy się w kilku miejscach z faktami, które zdają się wskazywać, że w Polsce zabiegano o to, by Pomorze Zachodnie wciągnąć w orbitę wpływów, a może nawet i w obręb granic państwa polskiego.

Wiadomo, że w roku 1424 król rzymski, Zygmunt, i król trzech połączonych państw skandynewskich, Eryk, nakłaniali Władysława Jagiełłę do wydania córki swej Jadwigi za księcia pomorskiego Bogusława, obiecując „wcielenie na zawsze do Polski pewnych prowincji Królestwu Polskiemu przyległych, które temuż książęciu Słupskiemu dzie dztwem przypadły”. Jadwiga zaręczona była z synem margrabiego brandenburskiego Fryderyka. Wskutek tego powstał w radzie królewskiej spór, czy należy zerwać zaręczyny z Niemcem i zaślubić córkę królewską Pomorzanką. Ostatecznie jednak po długich naradach, „choćby większej części radców rozumnie myślących, zdawało się wielką korzyścią przydzielenia do Polski przez powinowactwo z księciem Słupskim i spojenie z jej częścią Ziemi Słupskiej, mającej znaczne i bogate miasta, tudzież połączenie biskupstwa kamińskiego z Metropolią Gnieźnieńską, od której było oderwane, wszelako nad tak wielkie korzyści więcej ważono rzetelność i dane słowo”. Długosz wręcz nie zgañił tej decyzji, co o niej jednak myślał, zdradził w słowach o radcach „rozumnie myślących”.

„Z RADOŚCIĄ WSTĘPOWAŁBYM DO GROBU”

Swoje stanowisko wobec Pomorza określił najwyraźniej w innym miejscu swej kroniki. Opisawszy obszernie w księdze XII dzieje wojny trzynastoletniej (1454—1466), w rezultacie której Ziemia Chełmińska, Pomorze Gdańskie i część ziem zakonnych wróciła pod koronę polską, zakończył ją tymi słowami: „I ja piszący te kroniki czuję nie małą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, odzyskania krajów z dawna od królestwa polskiego odpadłych i przyłączenia Prus do Polski. Bolało mnie to bowiem, że królestwo polskie szarpane było dotąd i rozrywane od rozmaitych ludów i narodów. Teraz szczęśliwym miennie i sobie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość. A szczęśliwszym był bym jeszcze, gdybym doznał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, Ziemi Lubuskiej i SŁUPSKIEJ, w których są trzy biskupstwa, od Bolesława, wielkiego króla polskiego i ojca jego Mieczysława założone, to jest Wrocławskie, Lubuskie i KAMIENSKIE, z

słodszy miał bym w nim odpoczynek”.

Jest to jedno z częściej cytowanych powiedzeń naszego kronikarza. I słusznie. Długosz, pierwszy w Polsce historyk ujmujący jej dzieje z tak szerokiego horyzontu, był, jak nikt inny, powołany do stwierdzenia zasadniczej roli Kresów Zachodnich w przeszłości państwa polskiego. Nie mogły mu oczywiście wystarczać takie Kresy Zachodnie, które widział za dni swoich, ale dawniejsze, piastowskie, oparte w całym biegu o system rzeki Odry. Fakty historyczne opowiedziane na kartach jego kroniki uczyły go, że ujście Wisły i ujście Odry winny mieć jednego włodarcza. Osobiste i wzruszające w treści wyznaczenie kronikarza idzie tu więc w parze z mądrością poznania doświadczeń historycznych, zdobytych w trudzie wnikliwego badania przeszłości swego kraju.

Co jednak jest osobliwego w tym wszystkim, to fakt, że wyżej cytowane słowa po dziś dzień w części odnoszącej się do Pomorza są źle rozumiane, a wskutek tego rzeczywista treść została sztucznie umniejszona. Należy naprawić ten błąd i przywrócić słowom Długosza właściwy ich sens.

ZIEMIA SŁUPSKA

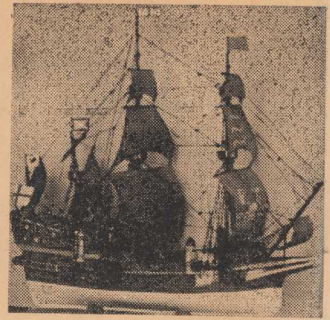
Chodzi o to, jak należy rozumieć wyrażenie: Ziemia Słupska w powyższym cytacie. Zwykle rozumie się pod tym ziemie słupską w ścisłym tego słowa znaczeniu, przy czym najczęściej nie jej historyczne rozmiary, ale obecne, o zasięgu dwu powiatów: sławieńskiego i słupskiego. Powstaje pytanie, czy Długosz, mówiąc o swej Ziemi Słupskiej, miał samo słupskie terytorium na myśli? Ostatnio prof. Karol Górski przypomniał, że w XV wieku Ziemia Słupska, z wyłączeniem powiatu kołobrzeskiego i koszalińskiego (stanowiły one wówczas tzw. Fürstentum Kammin — własność biskupów kamińskich), sięgała aż po Świnie, a więc obejmowała dzisiejszą Ziemię Słupską i Stargardzką Istonie, tak było w latach 1368—1463. Po tym jednak Ziemia Stargardzka została włączona do księstwa szczecińskiego. W roku 1467 zatem, gdy Długosz pisał powyższe słowa Ziemia Słupska obejmowała tylko ziemie na wschód od Grabowej Strugi i góry Cholmu aż po rzekę Lebę.



POLSKIE LENNO

Z publikowanych już na łamach tygodnika „Szczecin” wyników badań prof. K. Górskiego wynika, że w połowie XV wieku Ziemia Słupska była lennem polskim. O Ziemi Słupskiej, jako lenne polskim, wspomina również dokument traktatowy pokoju toruńskiego z r. 1466. W tym stanie rzeczy postulaty Długosza wobec Ziemi Słupskiej wydawały by się nam zbyt lekko i postawione. Ponieważ lenno liczyło się do granic państwa suzerena, w r. 1467 można było poczytywać Słupsk za część ziem polskich.

Albo więc Ziemia Słupska w r. 1466 nie była lennem polskim, albo słowa kronikarza o tej ziemi należy rozumieć inaczej. Pierwsza alternatywa musi odpaść. Wprawdzie książęta pomorscy już około roku 1466, jak zresztą i później, nie chcieli uznać zwierzchnictwa Polski nad Ziemią Słupską, ale nie mamy powodu przypuszczać, że Długosz w tym wypadku stawał na tym samym stanowisku, co aktualny pan Ziemi Słupskiej, Eryk II. Przeczy temu w zasadzie całość wywodów kronikarza na temat stosunków prawnych między Polską i Pomorzem.



Model żaglowca „ARK ROYAL”, wykonany w pracowni modelarskiej Szczecińskiego Muzeum Morskiego przez B. Prokowskiego

wyduje, są pewne szanse zmiany dotychczasowego punktu widzenia odnośnie zasięgu terytorialnego użytego przez kronikarza terminu. Mówiąc poprostu, sądzimy, że w naszym wypadku, Długosz rozumiał pod Ziemią Słupską całe Pomorze.

A teraz dowody. Ważny czytelnik niniejszego artykułu zdołał by już od siebie sam je zestawić z materiału przeze mnie omówionego. Przede wszystkim należy się zapytać, czy jest rzeczą możliwą, ażeby określenie „słupski” było równoznaczne z „pomorski” lub z innym podobnym pojęciem. Nie będą tu przytaczał obszerniejszego aparatu źródłowego, wskazującego aż nadto wyraźnie, że w Polsce XV- i XVI-wiecznej: terra Stolpensis, dux Stolpensis prawie z reguły oznacza księstwa i książąt całego Pomorza. Wystarczy bowiem wskazać tutaj na terminologię samego Długosza. Cytowałem wyżej wyimek z opisu chorągwi księcia Kazimierza w *Banderia Prutenorum*. Stwierdzamy tam, że rzeczonemu władca został przy tej okazji nazwany przez Długosza „księciem słupskim czyli szczecińskim”. Z tego wynika, że w języku naszego kronikarza: słupski i szczeciński były pojęciami równoznacznymi.

CAŁA DIECEZJA KAMIENSKA

Jak się zdaje, takiego samego pominięcia terminów dokonał Długosz również w wypadku nas obchodzącym. Wskazuje na to przede wszystkim kontekst. Ziemia Słupska jest tu wymieniona pośród dwu ziem, które w r. 1467 nie należały do Polski. Na tej samej stopie, co Śląsk i Lubusz było wobec Polski tylko ówczesne Pomorze szczecińskie i w przeciwieństwie do Pomorza słupskiego. W ziemiach tych były trzy biskupstwa, zdaniem Długosza, założone przez Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Tak się składa, że biskupstwo lubuskie i wrocławskie w pełni obejmują obie odpowiadające im krainy. Czyżby inaczej było na Pomorzu? Ziemia Słupska jest tylko skromną częścią diecezji kamińskiej, sięgającej od rz. Leby na wschodzie aż po granice Meklemburgii. Diecezja kamińska znajdowała się więc w Pomorzu, a nie w Ziemi Słupskiej. Z tych względów wydaje mi się rzeczą konieczną tłumaczyć wypowiedź Długosza w sensie poszerzającym. Jego ambicje polityczne obejmowały więc całe Pomorze Zachodnie, całą diecezję kamińską, którą pragnął widzieć pod zwierzchnictwem kościelnym metropolitów gnieźnieńskich. O nim całym, a nie tylko o Ziemi Słupskiej, marzył, by znowu znalazły się w obrębie państwa polskiego.

Jeśli przypomnimy sobie, jak traktował on ziemie pomorskie w swoim mitycznym wstępie, jaką rolę wyznaczał nieprawym synom Leszka wobec Popieła z prawego łóża pochodzącego, to jasnym dla nas się stanie fakt, że tylko taka interpretacja poszerzająca jest właściwa.

Wszystko to, razem wzięwszy, rzuca nam nowe światło na Długosza, który w ten sposób staje się jednym z pierwszych prekursorów zachodniej myśli w naszej historiografii. Uderza to tym mocniej, że wypadło mu działać i pisać w dobie, w której ogólna fala niosła nasze państwo na Wschód. Historia była tutaj jak mistrzynią, która pozorom aktualnego programu politycznego kazała kronikarzowi nawracać na dawne

NA REJSIE¹⁾

Motto: „Jest nas ogromna, cicha, przedziwna rodzina
Gromada obłąkańców z mrocznymi oczami,
Co się porozumiewa tajnymi znakami
W których się za aliczenia głębia dopomina.

Nie znamy jedni drugich z nazwisk, ani twarzy,
Jednak mamy o sobie przeeczucia i wieści.
Majaczymy po nocach słowa dziwnej treści,
Szeptając przez sen imiona sławnych marynarzy...”
— „O radosnej ojczyźnie” — L. Staff.

Tam, gdzie w mroku majaczy jeszcze linia łącząca niebo z morzem, chwycie się przestroniętej fali światła świnioujścia. Ostatni widoczny punkt na lądzie.

Blyski latarni raz po raz oświetlają chmury, które wymykają się z pod jej światła — ogarniają gwiazdy, księżyc.

Cała załoga „Skrzata” znajduje się na pokładzie. Wpatrujemy się w zanikające błyski, jakby one ostatni ślad portu, najmocniej udawadniają fakt oderwania się od lądu, od ludzi z codziennej otoczenia, słowem — od dnia powszedniego.

Jesteśmy na pierwszym po wojnie rejsie zagranicznym i jesteśmy wzruszeni. Milczymy.

Żartobliwie zwanych „czarna kanaką” nowicjusów żeglarskich, nie miała urok nieprzeżytych jeszcze wrażeń, nie przygoda, a przede wszystkim wzrusza świadomość wstępowania do tamtejszego stowarzyszenia, członków którego ludzie codzienni, szarzy ludzie nazywają z przeczeniem ludźmi morza.

Pierwszy rejs jest chrztem bojowym, jest i egzaminem stwierdzającym czy się umiało stawić czoło sytuacji, od których nie ma odwołania, w których stawką jest często życie.

Dla żeglarzy powrót na morze jest realizacją okresu okupacji.

Nielatwo jest wierzyć, że coś co przez wiele lat było odległym pragnieniem — staje się rzeczywistością.

Teraz rodzą się obawy, czy została w nas zdolność odbierania tego, co daje morze — jego czar, siłę i groźbę.

Wsluchujemy się w plusk fali, niebó wiatru w żagle i tikelunek „Skrzata”, — tworzy stały rytmizowany hałas, którego czasem ucho nasze nie usłyszy, ale który zawsze pomaga w odczuciu szybkości jachtu.

Wskazując na rufę statku, odezwała się Krystyna:

— „Światel już nie widać! Oderwali się od lądu, mamy teraz prawo złożyć hejd Neptunowi i ucałować święte deski pokładu”.

Wzwanie, trochę żartobliwe, trochę serio, nie zostało przyjęte z ironią. Każdy z nas rozumiał egzaltację Krystyny i każdy w części ją podzielał.

„Skrzat” bierze kurs na Stockholm — cel rejsu. Wiatr kręcący się w granicach ćwiartki S-O pozwala nam osiągnąć szybkość przeciętną 6 węzłów.

Na yachcie jest nas szesnoro — dwie kobiety i cztery mężczyźni.

Kapitan Janusz, przedwojenny azetemiak. Obecna jego praca w Ministerstwie Żeglarki potwierdza opinię, że yachting nie tylko bezpośrednio wiąże się z morzem, ale i przykuwa do zagadnień morskich.

Pierwszy oficer (nawigacyjny) — Krystyna. „W cywilu” jest magistrzem i wytworną kobietą, na yachcie sportową, prostą dziewczyną, lubianą i cieszącą się dużym autorytetem żeglarskim.

Drugi oficer Władek. Długoletni członek znanego klubu żeglarskiego. Szczecińscy i uniętnością gotowania bardziej niż żeglarstwem, które zresztą zna dobrze. Złotili twierdzą, że dzięki tym kuchennym właśnie uzdolnieniem jest „drugim”, ta

bowiem funkcja obejmuje obowiązki bosmana i gospodarczego.

Trojka ta reprezentuje władzę. Druga trojka, mająca tej władzy słuchać, składa się ze Stefana — profesora, starszego już pana, który w swym planie życiowym miejsce na żeglarstwo znalazł, jak sam powiada, dopiero po 50-letniej rocznicy urodzin. Z mojej średnio zaawansowanej osoby; oraz z Edka — „najczarniejszej z kanak”, bo przed tygodniem wyremontowany „Skrzat” jest pierwszym yachtem, którego „dosiadł”. Edek jest z nami, bo najpilniej z klubowców pomagał przy remoncie, przeprowadzanym systemem gospodarczym. Końcowe roboty wykonał prawie samodzielnie.

Trudno jest właściwie dobrać załogę. Z obecnego składu jesteśmy zadowoleni. Nawet Władek, który początkowo gorąco protestował przeciwko zabraniu na rejs kobiet, ostatecznie zawarł z nami przyjaźnielską „sztamę”, — pod warunkiem, że nie będziemy się do spraw gospodarskich za bardzo wtrącać. Musialymy nawet przyrzec, że w czasie naszych dyżurów kuchennych, będziemy się podporządkowywać jego rozkazom. Nie jest dobrego mniemania o zdolnościach kucharskich kobiet „dzisiejszych”. — „Zdaje się, że ma rację.”

Na odprawie załogi, odbytej tuż przed ziołkietowaniem na „Skrzata” odbył się zgodnie ze zwyczajem ogólny „bruder-szaft”. Potem, po przypomnieniu jeszcze funkcyjnych obowiązków załogi, Janusz pouczył o przepisach na yachcie:

- Wszyscy powinni mieć jednolity ubiór dla gali w porcie,
- w wydawaniu posiłków musi być zachowana stała obowiązujać kolejność,
- nie wolno przy opalaniu się wystawiać nóg za burtę,
- nie wolno, pod żadnym pozorem, gwizdać;
- nie wolno...

Przy wylczeniu zaleceń i zakazów tylko Władek przymrużając oko, szemrał buntowniczo (szczególnie bolał go zakaz gwizdania), — ale choć jest „starym zejmanem” klubowym wie, że i on będzie musiał dostosować się do rozkazów kapitana, który na yachcie jest najwyższą ustawodawczą i wykonawczą władzą. Janusz bardzo skrupulatnie przestrzega zwyczajów żeglarskich, nie we wszystkich klubach są one uznawane, ale Janusz jest ze szkoły azetemowskiej (A.Z.M. — Akademicki Związek Morski). Zawsze podkreśla, że to dobra szkoła i że wyszły z niej dobrzy żeglarze. Może dlatego, że przestrzegając tradycji morskich, byli z Neptunem w zgodzie.

I Władek przestaje szemrać. Jemu także, pomimo szarzy oficera, za nieopatrzny gwizd grozi karne wdrapywanie się na saling. — Skrobanie w top (czubek) masztu przebłaga kapryśnego władce morza.

Piosenka w życiu żeglarzy jest ważna. Przede wszystkim ona wspólność zespołu, nastroju morskim — na lądzie, a pociesza domem i wygodami w trudach życia żeglarskiego — na morzu.

Spiwamy często. Akompaniuję nam fala uderzająca o burtę. Przy tym dźwięku łatwo jest śpiewać. Pieśni żeglarskich jest wiele, bo tematów do nich dostarcza cały świat widziany oczyma wędrujących żeglarzy.

Na zimnym Bałtyku chętnie śpiewamy o Krzyżu Południa, o Dziewczętach z Colombo, o Szerokim, wielkim oceanie. Bardzo lubimy pieśń o statku „Biały Słoń”. Krystyna i Edek mają dobre głosy i z przyjemnością słuchamy ich duetu:

Na wielkim okręcie
wszyscy palą opium,
w maleńkich fajeczach
smutki swoje topią.

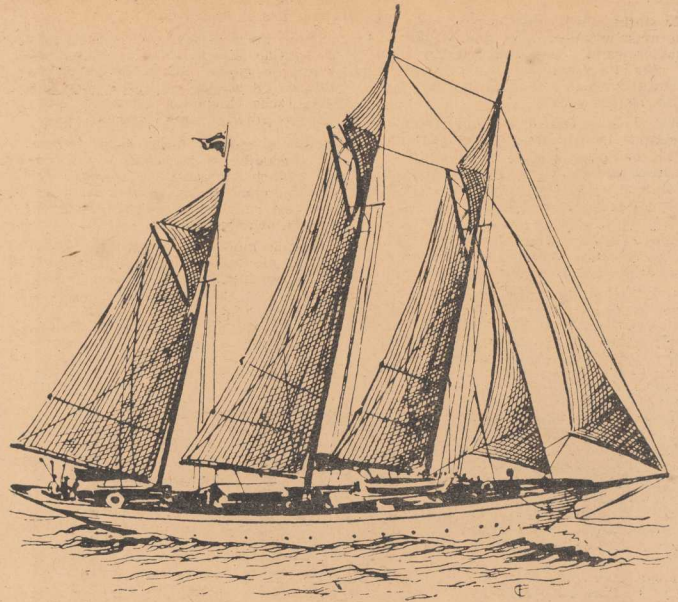
Biały Słoń, Biały Słoń, szaj maj nioj zungaj joi.

A z wielkiego morza
wyspa się wynurza,
księżyc w górę —
cytryna duża.

Podchwytujemy refren z tajemniczym zaklęciem i cieszymy się, że rytym jego mięci się dokładnie w rytmie rozpryskującej się na dziobie fali.

A na Filipinach
bóg jest bardzo tłusty.
Rzeki płyną modłem
prosto w same usta.

Z luku wysuwa się głowa profesora.
Krzata się po kambuzie, bo pełni dziś funk-
cję kucharską. Północny pór toczy jak u-



rozsądnie w ciągu dnia dawkuje. Staramy się nie okazać gryzącej nas zazdrości i żalu za naszą tuż po rożnieniu zbyt pochopnie użytą porcją.

Bardzo gorliwie śpiewamy dalej:

Na wielkim okręcie
wszyscy faję kuźą
okręt pali komin —
cygaro duże.

Edek przerywając śpiew wskazuje ręką na zawietrzną. Wychylamy głowy. Żagiel zakrył nam duże „pasażera”, który za chwilę przetinie kurs „Skrzata” w dość bliskiej odległości.

— Hej! sternik śpi? — krzyczy Janusz z dziobu. Oddawna musiał widzieć statek,

ale oceniając odległość i kurs za bezpieczne milcał, chcąc widocznie wypróbować uwagę sternika, którego obowiązkiem było zameldować spotkanie.

Będący na sterze Władek chrząknął kłopotliwie, ale natychmiast odchrząknął:

— Statek w lewo dwa rumby od kursu. A zbyt zajęci byliśmy śpiewaniem. A dzień, słoić i piosenka oddala myśl o niebezpieczeństwie.

W poczuciu winy tym gorliwie klarujemy na pokładzie, żeby się „Skrzata” nie powstydział. Po przejściu nam kursu, statek zawraca do nas.

— Ciekawi ich widać nasza bandera, bo zmienił kurs — mówi Krystyna. Oslania

KAZIMIERZ ŚLASKI

JAK POMORSKI AWANTURNIK STAŁ SIĘ OPIEKUNEM NAUKI

W jednej z sal zamku wawelskiego wi- siał ogromny obraz przedstawiający bitwę pod Lepanto. Tłumy wasatych Turków w zaojach, cisną się przez rzucone kładki, na pokłady chrześcijańskich galer namalowanych nieudolnie i w zbyt malej skali. Rycerze w zbrojach rąbia pogan i spy- chają ich do wody. Tam czają się rzesze djabłów, by porwać niewinnych wprost do piekła. Obraz naiwny i bez wartości artystycznej, ale zajmujący przez swój nieczysty w Polsce temat. Przewodnik śpieszy, aby wyjaśnić zagadkę jego pochodzenia: to rzekomo dar Bartłomeja Nowodworskiego.

Nowodworski! Jedna z najciekawszych postaci schyłku złotego wieku. Pomorzanin, co zadając kłam przysłówiowemu u- miarowi swych ziomków, rozpoczął swą romantyczną karierę od zabójstwa w po- jedynku, aby poprzez całe pasmo walk, awantur i przygód na obcych morzach — zakończyć bujny żywot — fundacją nau- kową...

Potomni z jego życiorysu zapamiętali najlepiej ten zbożny epilog, to też dla przeciętnego krakowianina, Nowodworski to tylko założyciel najstarszego gimna- zjum, którego portret w stroju cudzoziem- skim zdobii ściany kolegium św. Anny. Pomorzanin jeszcze dokładniej zapomniał o nim i nawet rodzina Tuchola, nie zdo- była się bodaj na jego pomnik czy tablicę.

Imię pan Bartosz ujrzał światło dzienne pod szarym niebem tuholskim. Ojciec jego Augustyn i matka Elżbieta z Deryn- gów, należeli do przeciętnego ziemiaństwa pomorskiego i — jak większość rodziców siawnych ludzi — przeszli tylko do histo- rii jako inicjatorzy tego burzliwego ży- cia. Młody szlachcic uczył się zrazu w miejscowej szkole, której poziom pozostawał wiele do zyczenia skoro na stare lata tak usilnie zabiegał o jego podniesienie. Zdaje się jednak, że przyszły dobroczyńca nauki, brał się niechętnie do książek, przekładając rycerskie zabawy. Dość że wykształcenie jego jak sam później przy- znanował mocno szwankowało. Po rychłej śmierci obojga rodziców, niespokojny duch, a może stonki rodzinne, nie dały wysiedzieć panu Bartoszowi na rodzinnej schedzie. Opuszczając na zawsze rodzinne Pomorze zapisał się do chorągwi księcia Michała Zasławskiego i wyruszył na Ruś. W harach z tatarskimi zagonami zapra- wiały się przyszły kawaler maltański do ścinania głów niewiernych.

Było to jednak ostatnie lata panowania Zygmunta Augusta i czasy bezkrólewia, gdzie uwagę ogólną pochłaniały sprawy bałtyckie i zachodnie, a na południowych kresach nie działało się nic ważnego. Po śmierci więc swego protektora księcia Za- sławskiego, młody Pomorzanin uznał za

powołanie kraje południowo-wschodnie, bo u- dał się aż do Siedmiogrodu pod sztandar- ry bitnego Stefana Batorego. Niebawem jednak książę ten obrany został królem polskim i Nowodworski w jego orszaku powrócił do kraju.

Ta pierwsza wyprawa na granicę przy- czyniła się niewątpliwie do rozszerzenia horyzontów młodego szlachcica i zjednała mu żyćliwość króla Stefana, który umia wyróżniać wybitne jednostki. Nowodworski towarzyszył królowi w wojnie mos- kiewskiej. Tam wraz z innymi „oal sum- niennie carskich wojaków z niemniej- szym zapalem, a może większym trudem jak ongiś Tatarzynów. Cieszył się też wi- docznie zaufaniem dowódców, skoro król powierzył mu instrukcje dla posła polskie- go w Stambule Filipowskiemu. Przebywając w stolicy Amurata III miał sposobność o- bejrzeć przepych dworu sultańskiego, za- pannać się z nieskręconą jeszcze potęgą turecką i zauważyć jej słabe strony.

Imię pan Bartosz powrócił z legacji otoczony już pewnym splendorem moral- nym i materialnym. Był na prostej dro- dze do dalszych zaszczytów i godności ziemskich i może życie jego potoczyłoby się zwykłą koleją szlachcica XVI wieku, gdyby nie nadmierna zapalczowość mimo już czterdziestki na karku. Po powrocie z poselstwa poróżnił się z dworzaninem kró- lewskim i doszło do pojedynku. Szabla pana Bartosza nazbyt przywykła do plata- nie wrażeń lwów, nie umiała oszczędzić i życia rodaka. Taki czyn popełniony pod bokiem króla, groził gardłem, to też krew- nik Pomorzanin nie miał innego wyjścia jak ratować się co rychłej ucieczką za granicę.

Oparł się aż we Francji, gdzie miał spe- dzić lat 17-cie, wojując w służbie król- ewskiej przeciw Hugonotom. Posiadamy bar- dzo niewiele szczegółów z tego okresu ży- cia Nowodworskiego. Warto byłoby pod- jąć te poszukiwania w archiwach Francji, które może rzuciłyby snop światła na ten ciekawy fragment ówczesnych stosunków polsko-francuskich.

Owe lata wywarły niewątpliwie silny wpływ na osobowość pana Bartosza. Ze śmiałego wojaka wyrobił się nie tylko na wybitnego dowódcę, ale i na człowieka szerokiego umysłu. Przebywając w jednym z najważniejszych ośrodków kultury eu- ropiejskiej, stykał się niechybnie z mnóst- wem pojęć i wiadomości o których nie marzyło się przeciętnemu szlachcicowi polskiemu. Jak trudne musiał przechodzić chwile zanim nie dostroił się do bardziej wyrafinowanych obyczajów dworzan i ofi- cerów króla Henryka III. Wtedy zrozumiał zapewne, że na pojęcie obywatela nie składa się tylko honor, śmiałość wojenna i obrotny język, ale że niezbędne jest wy- kształcenie, którego sam w młodości nie



oczy od słońca, wpatruje się w banderę „pasażera”. — Krzyż, zdaje się szwedzki.

Po chwili wszyscy rozpoznajemy Szweda.

Ze statku kiwają do nas przyjaźnie. Ładnie musi wyglądać nasz smukły, na biało polakierowany, idący pod pełnymi żaglami „Skrzat”. Zjednywa nam sympatię jego wygląd i jego samotność na polyskującej od słońca wodzie.

Nie wiele widzieliśmy dotąd statków, a spotkania na morzu są przyjemne — zdają się zwiększać zespół osamotnionych na wielkiej wodzie podróżnych, bratają ludzi i bandery — są często pomocą, a czasem ratunkiem.

Noc. Trzecia noc naszego rejsu. Wiatr skręca na West i tęższe. Szybkość w pełnym halbwindzie mamy dużą.

Krystyna z kapitanem siedzą nad mapami rozłożonymi na stole mussy. Przepływamy koło Gotlandu. Bliskość lądu wymaga dokładnego śledzenia map i locji. A w nocy szczególnie ważne jest właściwe rozłożenie świateł.



dy wojenne, odwaga i orientacja w boju. Przy zdobywaniu Pontoise w roku 1589 został ranny na oczach samego króla. Rok później odznaczyl się w zastępach Henryka IV pod Conflans. Później widzi- my Nowodworskiego, gromiącego armie Hugonotów pod Amboise w 1597 r. i zdobywającego przy tej okazji cenne lupy. To też, gdy uprzykrzywszy sobie później- sze lata pokoju, umyślil zwalczać niewier- nych, w szeregach Zakonu Maltańskiego, sam król Henryk IV zapoatrzył go w listy polecające.

Nowodworski przybył na Malte w roku 1599. Wielki Mistrz, Don Martin Gaviez przyjal bardzo zyczliwie gościa, protego- wanego przez potężnego monarchę, tym bardziej, że mógł już słyszeć o jego czyn- ach od licznych francuskich członków Zakonu. Niebawem polski rycearz zyskal ogólne poważanie w nowym otoczeniu, do czego przyczynila się niewątpliwie jego znajomość świata muzułmańskiego, naby- ta ongiś w czasie walk z Tatarami i poby- tu w Siedmiogrodzie i Stambule. W roku 1601 Wielki Mistrz Aloizy de Vignancourt przedsięwziął wyprawę na grecką twier- dzie Naupaktos (Lepanto), wydatą przez Turków Wenecjanom. Nowodworski przy- czynił się waleń do zdobycia tej warowni, wysadzając bramę z wielkim narażeniem życia.

W szeregach Zakonu zobaczył pan Bar- tosz kawał świata: walczył na wodach egipskich, i w wyprawach floty maltań- skiej przeciw korsarzom maurytańskim. W roku 1602 przy zdobywaniu afrykań- skiej twierdzy Mahmudieh został ranny w nogę i w ciężkim stanie został przewie- ziony na Malte. Długie godziny spędzone w samotności sprawily, że pan Bartłomiej jął odczytywać coraz silniejszą tęsknotę za ojczyzną. W czasie tego przymusowego o- kresu spokoju zapoznał się z bawiacym na Malcie Piotrem Kochanowskim, poetą i wojownikiem. Tłumaczowi arcydzieł Tassa podobał się rodak o bujnym żywo- cie, jakby wyjęty z rycerskiego roman- su. Postanowil mu więc dopomóc w umo- żliwieniu powrotu do kraju. Kochanowski wróciwszy do Polski, swymi opowiadania- mi o „przewagach orczyń” banity, osią- gnał dlań zupełne przebaczenie. Sława imć Pana Bartosza była mu najlepszym listem żelaznym. Nie tylko otrzymał zawołanie na powrót, ale wnet po zjawieniu się w kraju w 1609 roku został dowódcą rotą niemieckiej Króla Jegomości.

Skoro tylko odzyskal prawa obywatel- skie — Nowodworski choć już nie młody, oddał swe sily walce za ojczyznę. Tak jak pod Naupaktos imponował cudzoziemcom swym męstwem, tak i zadziwil nim rodak- ów przy oblężeniu Smoleńska w 1611 ro- ku. Po wysadzeniu prochami bramy, wpadł do twierdzy na czele tylko 300-tu ludzi i gdyby nadesłano w czas posilki może przez ten śmiały wypad opanowałby mia- sto. Nowodworski zmuszony cofnąć się nie dał za wygraną i zorganizował podkop i wyłom w murze, przez który wojska pol- skie dostały się wreszcie do Smoleńska. Pod Mołajskiem i pod Moskwą stary wo- jownik otrzymał dwukrotnie postrzał w prawą rękę, które jednak nie zalały jego animuszu. Czyni jego stały się ogól-

Czuwamy wszyscy. Od początku zreszta rejsu wolne wachty często niewykorzystu- ją przysługującego im prawa odpoczynku. Za cenę snu chcemy nasycić się wraże- niami naszej wędrówki.

Teraz Edek z otwartym spsem lataru, oświetlając książkę lataru kieszonkowa, wyczytuje głośno podane charakterystyki świateł. Krystyna co chwila wygląda z luku, rzuca okiem na kompas i na widoc- zne po prawej burcie latarnie.

Statków mijamy teraz wiele. Wiemy o ich obecności po zielonych i czerwonych światelkach błyszczących wokolo. Dzięki różnorodnym głosom motorów i motor- ków jest ruchliwie i gwarowo. Jesteśmy w dużym towarzystwie.

Sternik musi bardzo uważać. W takim „toku” nie trudno o awarie. Tymbardziej, że nie wyczuwa się właściwie odległości świateł, i że mamy wielką szybkość, a siła wiatru jeszcze rośnie. Kapitan już na- wet zarządził klar do refowania, ale roz- kazu nie wydał. Pewno tak jak i my od- czuwają urok w naszej nocnej, potęgowanej mijanymi światłami — szybkości.

MARIAN PIECHAŁ

PO KŁĘSCIE

Już się resztki złudzeń dopalały w auroeli wystrzałowch lun, tylko jeszcze rzeki w lunach grały niby harfy pełne złotych strun.

I stąpaliśmy jak Piotr po fali, co zalała opuszczony brzeg, gdzie jak wierzba podmyta się walił wypróchniały od wnętrza nasz wiek.

My jak święci w cyrku Europy na arenie, wśród bestyj z za krat, czekaliśmy — z żywych ciał okopy układając — ileż straszliwych lat!

Na nietknięte dotąd sumień karty stylus dziejów, umaczany w krwi, sens wpisywał z trzew ludzkich wydarty na przestrogę groźną przyszłych dni.

Sny spod powiek zmarłych wyluskane kwitły w żywych, dniom pogardy wbrew, i ojczyznę, jak otwartą ranę harf grających przewiązywał śpiew.

Ładne są szkery szwedzkie. Wysepki wyrastające z rozsolonecznionej błękitnej wody — zieloną, zadrzewioną górą, obsia- ne różnokolorowymi domkami z powiewa- jącymi na wysokich, białych masztach barwnymi chorągiewkami — przypominają nam to kolorowych filmów dla dzieci.

Porządkujemy i szorujemy yacht, by godnie prezentował naszą banderę w Stockholmie. Korzystając z pięknej pogody, w kostiumach kąpielowych czerpiemy wiadrami morską wodę i z jednakowym zapałem zmywamy pokład i oblewamy się wzajemnie dla ochłody.

Mijają nas licznie kręcące się tu ża- główki i yachty. Szwedzi przypatrują się nam ciekawie.

Po odprawie celnej, stanęliśmy do na- brzeża Królewskiego Yacht Klubu. Yacht klarujemy szybko, chcemy jak- najszybciej zejść na ląd.

Bosman portu, starszek pełniący swą funkcję jeszcze przed wojną, prowadzi nas do swego domku przy basenie.

— Każda z załóg pierwsze kroki do mnie kieruje — mówi.

Pokazuje nam dużych rozmiarów księ- gę, w której figurują podpisy przybyłych. Wiele jest w niej nazwisk polskich i wiew- lu z nich bosman pamięta. Ma nawet foto- grafie bardziej „znajomych” kapitanów polskich. Rozpoznajemy znane nam twa- rze.

Gawędzimy po przyjacielsku do chwili rzuconego przez Janusza pytania: — dla- czego szwedzkie yachty nie odwiedzają naszych portów po wojnie? — Bosman milczy, życzliwość znika mu z oczu. Przy- pomnił widać sobie, że łączą nas w tej chwili tylko żeglarstwo.

Trzy dni zwiedzamy ładne, bogate mia- sto. Podziwiamy i trochę zazdrościmy.

W drodze powrotnej pogoda nam nie dopisuje. Zimno, deszcz, i tężący wiatr. Często refujemy. Załoga ocenia teraz ro- lę odpoczynku i zbierania sił na wypadek sztormu. Na pokładzie była tylko wachta, reszta śpi w kajach.

Minęliśmy szkery, Gotland, mijamy Bornholm. Kapitan siedzi u luku mussy, patrzy podejrzliwie na morze, potem na niebo. Na wodzie pokazują się ciemne smugi — zapowiedź szkwałów.

Znowu trzeba refować.

— Cała załoga na pokład!

Z luku wydrapują się białe postacie, w pozawijanych do kolan drelichach. Zaczyna kiwać porządnie, przez płuski fal bi- jących o burty i bryział fal chlapiące niemilosiernie, przebijają glosy:

— Korbe, dajcie korbe! — Fał odknago- wany? — lina przemoczona zacisnęła się dookoła knagi. Stosujemy bardzo skom- plifikowany węzeł, potem — gorączkowe wykrecanie liny, — korba, no! do refo- wania klar!

Ręce chwytają żagiel, paznokcie jeżdżą po płótnie, poprzez gwizd wzrastającego wia- cę wiatru, łomot szmacoczących się z wia- trem żagli i poprzez uderzenia fal o bur- tę i pokład sączy już przykrzy zgrzyt ref- masyzny.

Szkwały idą jeden za drugim. Z mussy dochodzi brzęk naczyn i stukot latają- cych w szafkach, przedmiotów. Władek, dzisiejszy kucharz, trzyma patelnię w rę- ku i usiłuje jednocześnie przytrzymać spadający deszcz naczyn i prowiantu. Prymus umocowany na kardanie chwycie się na wszystkie strony, sycząc i fukając jak lokomotywa.

Kiwa tak niemilosiernie, że nie ma mo- wy o gotowaniu i normalnym posiłku.

Kucharz zrezygnowany mocuje się teraz z puszkami, by móc chociaż zimnym mię- sem obdzielić wymęczoną załogę.

W messie rośnie stos mokrych dreli- chów zrzuconych skostniałymi rękoma z zębniętych ciał.

Zapach stęchlizny i wilgoci, ciągle prze- walanie się yachtu z burty na burty wy- wołuje obrzydliwe uczucie młodości.

Wiemy, że dobrym lekarstwem na cho- robę jest jedzenie. Trzymamy na kolana- nach puszki i usiłujemy trafić łyżką do ust. Większa jednak część załogi, owia- zana linami, leży przy burcie i oddaje swoją ofiarę bogom morza.

Nowy trzask! — dźwięk wybijający się z dotychczasowego halasu podrywa na nogi. Fok! — Przedni żagiel peki! trzeba go natychmiast zrzucić, bo pojedzie w strzepy. Nieprzypadnie chroniąc głowy przed chłostającym nas mokrym płótnem wyszarpanym przez wiatr, rękoma okale- czonymi od razów zwijamy na koniec za- giel.

Z niepokojem patrzymy na maszt — pracuje tak ciężko, że cały yacht dudni. — Chyba wytrzyma — pocieszamy się głośno. W spojrzaniach naszych mniej by- ło pewności.

Jednak wytrzymał.

Wanda Poradowska

REPORTAŻ, ODZNACZONY II NA- GRODĄ W KONKURSIE TYGODNIKA „SZCZECIN” O NAGRODĘ ZARZĄDU MIEJSKIEGO M. SZCZECINA.



S/S KOŚCIUSZKO PRZYBYŁ DO POLSKI

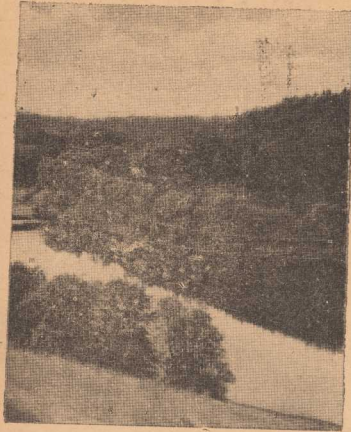
Jedna z najspanialszych jednostek polskiej marynarki handlowej, s/s Kościusko, przejęty swego czasu przez naszą misję od władz radzieckich w Rotterdamie, przybył w ub. miesiącu po raz pierwszy do portu polskiego. Jest to pod względem tonażu czwarty co do wielkości statek naszej marynar- ki (7.763 BRT).

S/S Kościusko jest statkiem nowo- czesnym, zbudowanym w roku 1939 w stoczni „Weser” w Bremie. Jako statek towarowo-pasażerski posiada konstrukcję wznowioną do przewozu ład- nioch najcięższych, zarówno w ładow- niach jak i na pokładzie. W drugiej ład- owni statek może zabrać osiem naj- większych lokomotyw z tendrami.

Przed przybyciem do Gdyni s/s Kościusko przeszedł kapitalny remont w Antwerpii. (ekm)

Szczecińskie szlaki wycieczkowe

DĄBIE - ZDROJE - PUSZCZA BUKOWA



Widok z Puszczy Bukowej

Szczecinianie mało jeszcze znają najbliższe okolice miasta. Szlaki wycieczkowe, dziś są w zaniedbania. A szkoda, bo okolice Szczecina, bliższe i dalsze, są naprawdę piękne.

Rozpoczynamy cykl artykułów o szlakach wycieczkowych Pomorza Szczecińskiego od najbliższych okolic Szczecina.

DĄBIE SZCZECIŃSKIE

W odległości około 10 km na wschód od śródmieścia Szczecina znajduje się przedmieście Dąbie. Dojazd do Dąbia jest bardzo łatwy, co dwie godziny odchodzi bowiem w tym kierunku sprzed Bramy Portowej autobus (zawsze o godzinach parzystych). Jedzie się przez most na Odrze, Łasztownię i rejon kanału Kaszubskiego, most na Regalicy i obok lotniska aż do centrum przedmieścia.

Dąbie to bardzo stare osiedle słowiańskie o co najmniej 1000-letniej historii. Powstało ono w tym samym czasie co i Szczecin. Położone jest u ujścia rzeki Płony do Jeziora Dąbskiego. Płona wypływa z wzniesień w okolicy Barlinka i poprzez jezioro Płone i Miedwie płynie ku północnemu-zachodowi, a wreszcie wpada do Dąbia. Dawniej okolica ujścia Płony była bagnista, a tym samym i silnie obronna. Takie miejsce wybrali sobie słowiańscy rybacy, na założenie osady.

Historia przekazuje dwie nazwy dla Dąbia, a mianowicie Vadam i Dambę. Nie ulega wątpliwości, że obydwie pochodzą od słowiańskiego dębu, który prawdopodobnie zajmował tu wielkie okolice.

O ile chodzi o przeszłość Dąbia, to kroniki wymieniają miejscowość tą już w XII wieku. Kolo roku 1121 Bolesław Krzywousty rozbił pod Zdunowem (7 km. na południowy wschód od Dąbia, u stóp pasma Puszczy Bukowej) wojska pomorskie, walczące pod wodzą Warcisława. Pomocy uchodzili wówczas przez Dąbie do Szczecina, a wojska polskie zajęły osiedle.

Pod koniec XII wieku Dąbie należało do klasztoru Cystersów w Kolbaczu. Osada się szybko rozbudowywała, ponieważ książęta przybywali tutaj często na polowania. W roku 1249 Dąbie otrzymało prawa miejskie i stało się ważnym miastem morskim prowadzącym szeroki handel. Miasto zostało otoczone murami (częściowo kamiennymi) a ze Szczecinem łączył je specjalnie wybudowany most. Dąbie było zresztą w dużej mierze konkurentem dla Szczecina, co stało się powodem licznych konfliktów pomiędzy obydwojmi miastami. Zresztą dochodziło również do starć z Goleniowem i Stargardem. W XIV wieku Dąbie przystąpiło do związku hanzeatyckiego; w mieście pojawili się liczni zagraniczni kupcy, również i Żydzi. Miasto często padło ofiarą pożarów, jednakże ze względu na bogactwo mieszczan i wyjątkowo dobre położenie przy drodze prowadzącej ze Szczecina na wschód, szybko się odbudowywało.

Ciosem dla Dąbia było zwiększenie się rozmiarów staków morskich. Jezioro nad którym leży miasto, a przez które statki musiały przepływać jest bardzo płytkie (od 1-3 m głębokości). Gdy przeto w XIX wieku rozpoczęto budowanie coraz to większych jednostek, nie mogły one już zawiązać do Dąbia i kierowały się do Szczecina. Od tej chwili Dąbie zaczęło upadać. W r. 1872 zniszono mury i bramy miejskie. Pewne ożywienie wprowadziło dopiero stworzenie tutaj węzła kolejowego, a później włączenie Dąbia do Szczecina. Dąbie było przedmieściem częściowo przemysłowym, a częściowo willowym dla bogatych mieszkańców Szczecina.

W czasie ostatniej wojny Dąbie zostało silnie zniszczone. Zakłady przemysłowe leżały zupełnie w gruzach, podobnie jak

i zabudowania węzła kolejowego i nowoczesne dzielnice. Zachowało się w dużej mierze stare miasto.

Z ważniejszych zabytków, które przetrwały do naszych czasów wymienić należy kościół Mariacki, pałacyk myśliwski Piastów szczecińskich, resztki murów miejskich oraz kilka domków mieszczan-skich przy ulicy Książce. Kościół jest potężny i góruje ponad całym osiedlem. Już z daleka zblizając się do Dąbia widać wysoką jego wieżę. Świątynia pochodzi z XIV wieku. Jest to gotyk, częściowo dobrze zachowany. Szczególnie piękne są pomimo swej surowości portale. Wieża jest nowa, zbudowana w stylu neogotyckim kilkadziesiąt lat temu. W czasie wojny kościół został uszkodzony, ale już przeprowadzono zabezpieczający remont.

Obok kościoła znajduje się książęcy pałacyk myśliwski. Zachował się bardzo dobrze. Jest to budowla renesansowa wzniesiona około roku 1600. Remontowana była bezpośrednio przed wojną.

WAŻNY OŚRODEK RYBACKI

Dąbie jest obecnie ważnym ośrodkiem rybackim. Jezioro dostarcza rybąkom dużych ilości ryb, w które obfituje. Port rybacki znajduje się u ujścia Płony do Dąbia. Jest to rejon nie zniszczony.

Za portem, pomiędzy jeziorem i Płoną ciągnie się piękny las — park, przez który dojeżdżać można nad jezioro i do plaży. W parku dobrze utrzymane drogi prowadzą do wysokich drewnianych „ambon”, z których rozlega się szeroki widok na przepiękne jezioro (54 km²) i leżący na zachodnim brzegu Szczecin. Przy lesie miła i duża plaża piaszczysta, z rozbierniami, kabinami restauracji itp.

Przed wojną Dąbie liczyło blisko 15 tysięcy mieszkańców. Obecnie — ponieważ obiekty przemysłowe tej dzielnicy są zniszczone — mieszka tutaj niecałe 3 tysiące.

Z Dąbia prowadzą interesujące szlaki wycieczkowe w kierunku północnym i południowym. Ku północy ciekawe są wycieczki brzegiem jeziora poprzez ogromne łaki, względnie przez lasy z sosną w kierunku Goleniowa. Lasy te ciągną się na przestrzeni 20 km ku północy. Na południe natomiast dążyć można w kierunku wzgórz Puszczy Bukowej do Zdrojów, Kleskowa, Podjuchów, Żydowca i Kolbacza.

Do Dąbia dojechać można również koleją z głównego dworca względnie statkiem z przystani na Walach Chrobrego.

ZDROJE — ZABORSKO

W odległości około 20 minut jazdy autobusem od Szczecina nad Regalicą znajduje się przedmieście Zdroje (dawniej Czhanowo). Autobus odchodzi spod Bramy Portowej w Szczecinie co godzinę. Jedzie się do Zdrojów również przez Odrę i Regalicę.

Bezpośrednio za mostem na Regalicy autobus skręca ku południowi i po kilku minutach jest już w osiedlu. Można do Zdrojów dojechać również pociągiem; należy wówczas wysiąść na stacji kolejowej Zaborsko.

Miejscowość ta znajduje się u stóp Puszczy Bukowej, wspaniale zalesionego pasma górskiego. Przed wojną w Zdrojach mieszkało około 5 tysięcy ludzi, którzy częściowo pracowali w miejscowych placówkach przemysłowych (wielka cementownia i związane z nią kopalnie, względnie zajmowali się przemysłem gospodnim. Zdroje były bowiem ważnym miejscem wypoczynkowym dla ludności Szczecina. W czasie wojny osiedle zostało bardzo silnie zniszczone, obecnie jest w odbudowie.

Zdroje była to już w XVI wieku osada przemysłowa. W pobliskich wzniesieniach znajdowały się eksploatowane złoża kredy. Wykorzystywano również kwarcie i ilły. Duża ilość kamienia była też podstawą dla pewnych działów przemysłu. W ostatnich już czasach wybudowano tutaj wielką cementownię. Przed wojną nie pracowała ona jednakże na surowcu miejscowym, ale korzystała z kredy sprowadzanej z Rugii. Tylko w wyjątkowych wypadkach eksploatowała miejscowe złoża. W czasie wojny cementownia została zniszczona.

Zdroje, jak zaznaczyłem, leża u stóp Puszczy Bukowej. Prowadzą stąd do nieoprawie ze wszystkie drogi łącznie się z aleją Wojska Polskiego. Najwygodniejsze jednakże są dwie: jedna z nich prowadzi obok szkoły (ul. Szkolna) i stacji kolejowej Zaborsko, a druga nieco bardziej na południe (doskonała betonowa szosa).

STARA DROGA

Droga prowadząca ulicą Szkolną jest starsza i piękniejsza. Uroczymi serpentynami tej drogi wchodzimy coraz wyżej i coraz to więcej zagłębiamy się w Puszczy — po przebyciu około półtora km. znajdujemy się na wysokości kilkudziesięciu metrów ponad Zdrojami. W dali widzimy Szczecin i leżące nad jeziorem, Dąbie. Bliżej Ostrowy i kępy odrzańskie oraz Regalica. Widok wspaniały i jedyny w swoim rodzaju.

Idąc dalej w kierunku Puszczy przechodzimy obok schroniska i przez tereny schroniska przechodzimy do perły szczecińskiego krajobrazu „szmaragdowego jeziora” (wyprawa do szmaragdowego jeziora od przystanku autobusu lub koleji trwa najwyżej 15 minut). W olbrzymiej kotlinie znajduje się jezioro o ciemno-zielonym kolorze wody. Dokoła strome, wysokie na przeszło 20 metrów piaszczyste, żółte brzegi. Żółtawy piasek i zielona toń wody stanowią wspaniały kontrast. Na wzgórzach rosną drzewa liściaste i iglaste (tych ostatnich przewaga). Jezioro powstało w sztucznie wykopanym dole i posiada dużą głębokość (nie nadaje się do kąpiel, ponieważ brzegi są bardzo strome).

PUSZCZA BUKOWA

Ponad jeziorem, na wysokich stokach znajdują się schrony wybudowane tutaj w czasie ostatniej wojny przez Niemców. W wypadku alarmu lotniczego w niedostępne podziemia Puszczy Bukowej chronili się niemieccy dygnitarze. Dla ich wygody została nawet zbudowana nowa betonowa szosa. Tą drogą można odbyć dro-

gę powrotną (jest to właśnie ta druga droga prowadząca do jeziora, o której wspominałem na początku).

Nie należy się ograniczyć do obejrzenia jeziora. Puszcza Bukowa jest wyjątkowo pięknym pomnikiem przyrody i warto ją poznać dokładniej.

Od chwili ponownego włączenia Zdrojów do miasta Szczecina (co nastąpiło w roku 1948) i uruchomienia komunikacji autobusowej osiedle rozwija się szybko. Ilość stałych mieszkańców wzrasta. Czynne tu jest gimnazjum ogrodnicze, które dostarcza fachowców do licznych ogrodów i sadów zgromadzonych w okolicy. Rozpoczęto także tworzenie placówek przemysłu spożywczego (kwaszarni ogorków itp.).

PODJUCHY

Zaledwie 25 minut autobusem od Szczecina, bezpośrednio za Zdrojami znajduje się przedmieście Podjuchy. Do niedawna było to samodzielne miasto, które dopiero w roku 1948 zostało włączone do Szczecina. Do Podjuch można również dojechać koleją, przez Zaborsko, Dąbie, na miejscu bowiem znajduje się stacja kolejowa. Dawniej osiedle miało bezpośrednie połączenie ze Szczecinem; zwodzony most na Regalicy łączył Podjuchy z miastem jest w odbudowie.

Poszczególne dzielnice tego osiedla leżą już bezpośrednio przy wzgórzach na stokach Puszczy Bukowej. Do osiedli tych dojeżdżać można najprościej ul. Rycka (nawprost dworca kolejowego). Na stokach doskonale bite drogi, a przy nich setki willi. Bardzo dużo z nich jest zniszczonych, znaczna część jednakże nadaje się do zajęcia i szybkiego zamieszkania. Nie brak tu też i wielkich pensjonatów, które mogłyby być objęte przez związki zawodowe, jako miejsca wypoczynkowe.

Przed wojną osiedle to liczyło 10 tysięcy mieszkańców. Dziś liczy około 3 tysiące ludzi, ale ilość mieszkańców stale wzrasta. Możliwość osadnicze nadal duże.

ŻYDOWCE

30 minut drogi autobusem od Szczecina a 5 minut od Podjuchów znajdują się Żydowce.

Regalica płynie tutaj wolno; brzeg rzeki niski, błotnisty, zarosły trzciną i ostrymi trawami. Na nizinach wielkie łaki. Wzdłuż Regalicy usypany jest wał, który stanowi rodzaj bulwaru spacerowego.

Najważniejszym obiektem Żydowców jest Państwowa Fabryka Sztucznego Jedwabiu nr. 4. Olbrzymie jej zabudowania z wysokimi kominami widoczne są z daleka. Fabryka silnie zniszczona w czasie wojny, została już częściowo odbudowana. Pierwszą jej partię uruchomiono w dniu 1 maja 1948 roku. Na rzece produkują się sztuczne wełny i bawełny. Przedsiębiorstwo to daje zatrudnienie około 1200 ludzi. W związku z uruchomieniem tej fabryki odbudowano również szereg wielkich bloków mieszkalnych i domków rodzinnych.

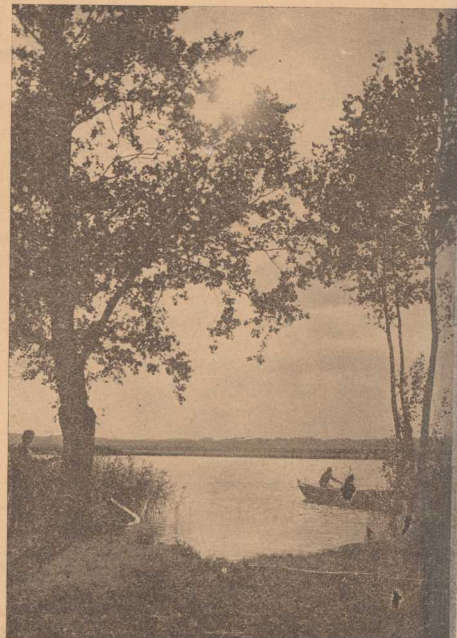
Zaplecze Żydowca stanowi Puszcza Bukowa, do której z osiedla prowadzą liczne drogi. Między innymi z dróg można dotrzeć do najwyższego punktu Puszczy wznoszącego się 147 m. ponad poziom morza.

CZESŁAW PISKORSKI

JANUSZ KASPERSKI

Jeśli masz tylko dwa kawałki chleba,
To zostaw jeden, więcej ci nie trzeba,
A za ten drugi śniącą w złotym pyłe
Kup sobie lilie.
A jeśli widzisz, że brat twój umiera
Łaknący Piękna — niech twa ręka szczerza
Tę swą lilie poda mu nie gnuśnie.
Dodaj mu uśmiech.
Smutek i radość — to jedno na świecie.
Porzuc dwoistość, a znajdziesz to trzecie,
Nie złe ni dobre, lecz płynące czyste
Źródło wieczyste.
Bądź niby prosta, dorycka kolumna,
Niech serce dziecka, starca myśl rozumna,
Jak wiecznej lampy blask w tobie nie drzemają.
Łącz niebo z ziemią.
Bądź jak kolumna prosta, doskonała
Na sól mów: słona, a na białość: biała.
I nie ozdabiaj nagość Piękna świętą
Różami, miętą...
Siwych ci włosów, młodzieńcze nie żyć,
Bo już w młodości znasz wszystkie gorycze.
Znajdź słodycz, jak ci od bogów kochani,
W śmierci przystani.
Lecz nim odejdziesz — noś imię człowieka.
Linnantis, nimfa, gdzieś na ciebie czeka
W ukrytym zdroju, wśród leśnej ustroni...
Powróćisz do niej.

* Ze zbioru wydanego przez Oficynę Księgarską pt. „Wiersze, Proza, Przekłady.



Pomorzec Zachodnie
kraj jezior



„NIE ŁATWA BYŁA WALKA O OŚWIATĘ I POSTĘP”

Pod tym tytułem Bolesław Wit Świećcki, prezes Oddziału Morskiego Związku Zawodowego Dziennikarzy R. P., ukończył ostatnio dla Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” obszerną pracę historyczno-dokumentarną. Praca ta, w oparciu o źródła prasowe, przedstawia zarys historii Związku Nauczycielstwa Polskiego od momentu, gdy ta, jedna z największych w lańcuchach międzywojennych organizacja, wzięta rozbrat z sanacją i stanęła w awangardzie ruchu zawodowego, wcielając praktycznie w życie hasła jednolitego ruchu zawodowego inteligencji pracującej z klasowymi, robotniczymi związkami i ruchem ludowym.

Tenże sam autor zajął się również historią strajków chłopskich. Pracę o tym temacie przygotowała również dla Sp. Wyd. „Czytelnik” Poza tym, Bolesław Wit Świećcki kończy obecnie dla Centralnego Instytutu Kultury broszurę o mowach przejawach sztuki ludowej na ziemi kaszubskiej.

Z. I.

dalej, zamieszczano coraz częściej utwory wychodzące z pod pióra czytelników, a więc wólcian, rzemieślników itp. Wśród tych samorodnych pisarzy wiejskich ujawniły się prawdziwe talenty literackie i publicystyczne, których utwory będą posiadały trwałą wartość w piśmiennictwie naszym. Wyjątki z takich właśnie rozpraw i artykułów zebrał prof. Pigoń i wydał pod podany w nagłówku tytułem.

Znajdujemy w tym zbiorze utwory 23 pisarzy, przeważnie żyjących w okresie między powstaniem styczniowym a zakończeniem pierwszej wojny światowej. Oto nazwiska wybitniejsze i znane każdemu, kto czytywał pisma ludowe: Jakub Bojko, Wincenty Witos, Andrzej Średniawski, Wojciech Włodek, Józef Nakonieczny, Tomasz Nocznicki, Błażej Stolarski, Stanisław Sienicki. Największe uzdolnienie, wśród pisarzy politycznych wykazują: Witos, Nakonieczny i Nocznicki. Sa to wszystkie przedstawiłciele zamkniętego już dzieła okresu w dziejach dojrzewania społeczeństwa i politycznego ludu wiejskiego, okresu obejmującego ostatnie kilka dziesięcioleci lat XIX i pierwsze ćwierćwiecze w XX. W wyjątkach z utworów pisarzy ludowych, wybranych przez prof. Pigoń, ujawniają się cechy tego ciekawego w okresie dziejów emancypacji chłopów polskiego. Możemy w nich śledzić stopniowy lecz stały rozwój ducha i kultury obywatelskiej i społecznej oraz poczucia odpowiedzialności za los narodu i państwa. Dla starszego pokolenia będzie „Wybór” przypomieniem przeżyć i doświadczeń, dla młodszych rewekcją „tam pożyteczniejszą, że dziś, po zniszczeniu wojennych dostep do dawnych czasopism nie jest prosty i łatwy.

JOT

LATA WOJNY

Wasył Grossman; przekład z rosyjskiego na język polski, Moskwa 1947.

Pamiętniki lat 1941 do 1946. Sa niewątpliwie czytelnicy, którzy czytają przede wszystkim pamiętniki wojenne, tym „Lata wojny” dadzą spojrzenie tak przedmiotowe i notujące każde szczegóły autora jak Grossman. Sa tacy którzy wspomnień wojennych mają dość, lub odkładają ich lekturę na później, powiedzmy za pięć lat. I oni winni czytać Grossmana. Nie, żeby sobie przypomnieć, czy żeby zapamiętać — kto chce zapamiętać temu i książka nie pomoże — ale żeby zapoznać się z analizą i z wnioskami rosyjskiego autora.

W roku 1945, w lutym, kiedy Grossman skończył książkę napisał co następuje: „Nadszedł czas odwetu. Wszystko, co zostało zagrabione, Niemcy nam zwrócić. Niemy odpowiedzą za wszystko, co zostało spalone, zburzone, wysadzone w powietrze. Na tej surowej i uciążliwej ziemi pokój dla narodów świata będzie się budował nie na wybaczeniu, lecz na ciężkim granicze sprawiedliwego prawa odwetu. Nadejście czas, kiedy naród niemiecki potrafi uczciwie i prosto spojrzeć w oczy narodom świata, kiedy w kraju czarnej mgły, wstępcnictwa i zła, gdzie rządzą prawo mroku, gdzie na ścianach widać napisy „światło — to twoja śmierć”, ludzie znowu przypomną sobie słowa, wypowiedziane w chwili śmierci przez wielkiego Goethego: „światła — więcej światła!”.. (— elem —)



B. Dąbrowski — 114-ta start! — Powieść. Wyd. Sp. Wydawn. „Czytelnik” — 1948 r., Str. 224.

Roman Bratny — W karty z historią — Poezje — Wyd. Sp. Wydawn. „Czytelnik” 1948 r. — Stron 110.

Sir William Bragg (laureat Nobla) — Światło — Przekład dr Władysława Kapuścińskiego — Wyd. Sp. Wydawn. „Czytelnik” — 1948 r., Str. 305.

Inż. H. Sacharewicz, inż. Z. Zarebcow — Zasady radiotechniki — Przemówce napisał prof. dr Groszkowski Janusz — Wyd. Sp. Wydawn. „Czytelnik” — 1947 r. — Str. 506.

Czesław Centkiewicz — Czeluskin — Wyd. Sp. Wydawn. „Czytelnik” — Str. 77.

CYTOWANE PRZEZ ROBOTNIKÓW I ŻOŁNIERZY—

Wiersze Wł. Broniewskiego*)

Mówiąc o poezji Władysława Broniewskiego, należało by raczej pisać o rodowdnie społecznym jego wierszu, nie o rodowdnie formalnym. Broniewski jest bowiem typowym przykładem przystosowania formy do treści — innymi słowy, formą jest u niego jawizmskim wotumem, wynikającym ze ściśle określonych zadań, jakie wiersz w myśl ideologii poety miał spełnić.

I tutaj od razu należy powiedzieć, że poezja Broniewskiego spełnia swoje zadanie w sposób rzadko spotykany w historii literatury polskiej. Wiersze te są cytowane na pamięć przez robotników i żołnierzy, i jeśli niejedno przemówienie polityczne poszło już po kilku miesiącach w niepamięć, to one trwają i nadal spełniają swoją rolę. Poezja Broniewskiego jest przede wszystkim, par excellence, poezją walki politycznej, w której nawet nuta osobista (jak n. p. w pięknym wierszu „Mannlicher”) jest jedynie podkreśleniem zaangażowania się poety w zmaganiach rewolucyjnych proletariatu o lepszą i sprawiedliwszą Polskę. I pod tym wzglę-

dem mało jest w Polsce pisarzy, których „utwory zbrane” nęby by tak jednolity charakter.

Z tą sprawą wiąże się jeszcze inny, nadzwyczaj dla Broniewskiego charakterystyczny szczegół. Otóż — tom zawierający cały prawie dotychczasowy dorobek poety jest pod względem formalnym nadzwyczaj jednolity. „Chwył poetki” Broniewskiego jest ten sam w utworach początkowych, co w ostatnich, a nawet nieznaczne odchylenia od utartej drogi konstruowania wiersza zdawaly się w równej mierze dwadzieścia lat temu, co i dzisiaj. Formalnie więc — nie ma różnicy między Broniewskim z początkowej fazy jego walki poetki, a Broniewskim dni ostatnich. To, świadome chyba zaciśnienie poezji do jednej tonacji ułatwia bezspornie dotarcie tych wierszy do świetlicy i izby robotniczej.

I dzięki temu chyba — między innymi poezja ta spełnia swoje zadanie.

WITOLD WIRPSZA

*) Władysław Broniewski, „Wiersze zbrane”. Sp. Wydawn. „Wiedza”.

Nowe drogi pisarzy niemieckich

(Dokończenie ze str. 2)

Antologia „dawnych” udawadnia, że oni czuli, ale nie znaleźli jasnego wyrazu dla swych przeżyć. Jeżeli mają być przykładem, to mogą być tylko przykładem pionierstwa. Twierdzenie, że znaleźli by się dziś w niemieckim obozie postępowym, gdyby dożyli, lub gdyby pozwolono im dalej tworzyć, jest twierdzeniem akademickim. To jest sprawa wiary.

ANTOLOGIA „DZISIEJSZYCH”

40 wierszy i 20 utworów prozą autorów młodych i nieznanych u nas zupełnie. a w Niemczech znanych tylko w swoim gronie, przynosi antologia nowej literatury niemieckiej, jaka ukazała się p. t., „Plug” (Die Pflugschar).

Nazwiska tu nie nie mówią. Wiele natomiast mówi fakt, że ruchliwy „Aufbauwerk” berliński taką antologię wydał. Dowodzi to niebezpiecznie, jak mało stawia na pisarzy znanych, jak bardzo trzeba w Niemczech szukać talentów nowych, jak trzeba oglądać się za nowymi ludźmi, za nowymi przyjaciółmi i za innym spojrzeniem na świat. Ale na ogóle literackim jest to orka płytka. W tej antologii nowej literatury niemieckiej znaleźli się jedni dzięki swemu talentowi, a drudzy tylko z uwagi na treść. Są to ludzie, szukający jeszcze wyrazu.

Sily postępu niemieckiego organizują się dopiero. W polityce ich głosy są wyraźniejsze, w literaturze niemieckiej antologia dzisiejszych młodych sil jest bilansem półkresu, wykazującym tendencję, bilansem, który chciałby zachęcić innych do tego, by poszli taką samą drogą.

Jeżeli Niemcy na wielu odcinkach swego życia nie znaleźli jeszcze form ostatnich, nie możemy wymagać od nich, by znaleźli je w literaturze. Ale antologia ta jest dokumentem. Jest niewątpliwie dowodem, że sa w Niemczech młode sily literackie, które rozumiały ducha czasu, z którymi można by przy jednym stole usiąść i dyskutować o zagadnieniach ludzkich i społecznych, ale jest ich mało i są bardzo młodzi. Jednak sam fakt, że istnieją może być pocieszający. Poproścież z kimś rozmawiać.

ANTOLOGIA „ZAKAZANYCH”

„Das Wort der Verfolgten” — (twórczość zakazanych autorów) — zawiera bogatą listę nazwisk, które mają swoją wagę w świecie literackim.

Jest to antologia ubiegłego stulecia, zbiór poezji i prozy twórców wydalonych z granic niemieckich umarłych lub zgasyłych przedwcześnie. Trzeba przyznać, że Niemcy, skoro raz obrali drogę do jakiegoś celu, wiedzą, jak nią kroczyc. Chodziło o to, by nazwiskami zaimponować, więc nazwiska się znalazły. W antologii zakazanych znajdziemy nazwiska Bórnego, Heinego, Buchnera, Hoffmanna von Fallersleben, Freiligratha, Engelsa i Marxa (tak jest!), Wertha, Weillinga i Weydemeiera, żeby wymienić tylko tych, którzy znani są szerzej i którzy doczekali się licznych przekładów.

Antologia ta ukazała się już czasu wojny w Szwajcarii. Obecne jej wydanie berlińskie jest drugim wydaniem, nieco poszerzonym, a już spotyka się w literackich kołach Berlina z zarzutem, że nie uwzględniła literackiej twórczości pisarzy austriackich, i że nie obejmuje takich nazwisk, jak Carola von Ossietzkiego i Gustawa Landau. Wkrótce ukaże się drugi tom.

Ta najpoważniejsza z antologii obejmuje utwory tych, którzy walczyli o lepsze Niemcy, i których w nagrodzie za ich walkę, z Niemiec wyszczuto i odsadzono od czci, zaprzeczając prawa do tytułu patrioty niemieckiego.

potrafili tak skrzętnie zebrać spuściznę swych wielkich pisarzy postępowych, przyswoją sobie ich myśl, czy ich zrozumieją i pójdą ich śladem. Musimy przyznać wielkość tej pozycji w literaturze niemieckiej, ale musimy też zaczekać na skutki, jakie wyrwe ona na niemiecki świat literacki i na społeczeństwo.

ANTOLOGIA EMIGRANTÓW

Pozycja to najbardziej przypadkowa. Utwory zebrał dwaj pisarze niemieccy — profesor W. A. Berendsohn, historyk literatury, (który od lat żyje w państwach skandynewskich, i który zbiór niemieckiej literatury emigracyjnej wydał w Szwajcarii), a obecnie przygotowuje wydanie berlińskie) i pisarz A. C. Weiskopf, który p. t. „Unter fremden Himmeln” (pod obcym niebem) wydał zarys literatury emigracyjnej za okres 1933/47.

Oba tomy odznaczają się bogatą listą nazwisk. Nie można się jednak oprzeć uzasadnionej obawie, że zebrano w nich wszystko, co dało się podciągnąć pod pojęcie literatury, aby móc zaimponować leżba.

Do pewnego stopnia jednak, czytelnika musi zastanowić różnorodność niemieckiej twórczości emigracyjnej. Wielu znanych pisarzy emigracyjnych nie uwzględniono. Przyczyn należy szukać w animozjach politycznych lub odległości terenowej. Nazwiska podamy przy omawianiu tych pisarzy, którzy wrócili i którzy częściowo weszli na nowo do Pen-Clubu.

I CO DALEJ?

Oto cztery antologie jakiego ukazały się w Niemczech w ubiegłym półroczu. Tylko jedna z pozycji, antologia młodych pisarzy dzisiejszych, jest pozycją żywą. Pozostałe przywołują na pomoc literaturze niemieckiej duchy zeszlých pisarzy, lub wręcz starają się rehabilitować piśmiennictwo niemieckie w oczach świata.

Ala to nie jest najważniejsze. Językiem niemieckim rozmawia na świecie około 100 milionów ludzi. Antologie więc znajdują czytelników.

Była u nas w Polsce wycieczka dziennikarzy niemieckich. Cicho przeszła przez łamy naszej prasy, głosiła się w opiniach niemieckiej w Berlinie. Będzie u nas zapewne delegacja pisarzy niemieckich. Byli już na Węgrzech, byli w Związku Radzieckim, byli w Danii i zostali przy jęci z powrotem do Pen-Clubu.

Obchodzi nas temat autora niemieckiego, kolor jego myśli, klimat jego twórczości i wpływ jego nazwiska na masy. I odpowiedźmy sobie na pytanie: ilu i jakich autorów niemieckich znamy?

Bo oni znają nasze myśli i wiedzą co im odpowiadać, gdy: nimi zasiadamy do dyskusji nad dniem dzisiejszym i jutrem. Johannes Becher, po powrocie z Kopenhagi i po przyjęciu do Pen-Clubu, trafnie odpowiedział swoim czytelnikom w Niemczech na pytanie, czego Zagranica chce od pisarzy niemieckich. Zarzucał nam — mówił Becher — że wiele piszemy o wolności innych, że walczyliśmy o wolność Boerów. Indii i Irlandii, wnikaliśmy w kłopoty innych narodów i pouczaliśmy ich. Działaj chęć od nas, byśmy narazie zaczęli się sprawą własnej wolności, byśmy ją uchowali i upiłowali.

Niemcy z Pen-Clubu byli już w krajach nie mniej od naszego zniszczonech przez arime niemiecką. I nie tylko znaleźli tam chętnych do dyskusji, ale i pilnych czytelników, licznych przekładów swych dzieł.

Czy nie jest to sprawa warta zastanowienia?

EDWARD KMIECIK

SZCZECIN 9

DLA KAŻDEGO DOSTĘPNA
przyjemna — zdrowa — łąania
podróż statkami przybrzeżnymi „Gryfu“

PASAZEROWIE — TOWARY Szczecin — Świnoujście — Ustka
Darlów — Kołobrzeg — Gdynia — Gdańsk
INFORMACJE: „Gryf” — Polska Żegluga Przybrzeżna na Bałtyku —
Szczecin, Zygmunta Staroego 5 Telefon 29-09, 31-75

KULTURA I SZTUKA NA WYBRZEŻU

W dniu 21 czerwca, w sopockim Domu Literatów, Eugenia Kobylńska autorka ostatnio wydanej przez poznańską Księgarnię Św. Wojciecha książki dla młodzieży p. t. „Jak klasa I B odkryła nowy ląd”, poświęca swój przepojony serdecznością i sentymentem wieczór autorski zagadnieniom szkoły i pracy nauczycielskiej wśród młodzieży.

W dniu 22 czerwca w Teatrze Miejskim we Wrzeszczu odbył się wieczór autorski dr. Mieczysława Jarosławskiego, prezesa Oddziału Gdańskiego Z. Z. L. P., autora powieści p. t. „Szpital” i zbioru nowel kaszubskich (jedną z nich p. t. „Budajca” drukowana była ostatnio w naszym czasopiśmie), które ukazał się „Fregata”. Wieczór wspomniany, zorganizowany został staraniem Wydziału Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego m. Gdańska przy współdziałaniu gdańskiego „Bractwa Literackiego”.

W dniu 28 czerwca niespodziankę sprawiła swoim słuchaczom dr. Antonina Przewłocka, odczytawszy na swoim wieczorze autorskim w Domu Literatów w Sopocie, kilka fragmentów pisanej przez nią obecnie powieści marynistycznej „osnutej na tle dalekomorskiego rejsu. Rzecz charakterystyczna, że autorka pisze obecnie powieść, opierając się wyłącznie na materiale wspomnień i informacjach nabytych pośrednio, nigdy bowiem — jak wyznała to słuchaczom otwarcie — nie odbyła dalekomorskich podróży.

W zwyciężym tym kronikarskim zestawieniu, wypada zatrzymać się dłużej na ostatnim wieczorze autorskim Stanisława Edmunda Rembeka, zorganizowanym przez Oddział Gdański Z. Z. L. P. w sopockim Domu Literatów w dniu 5 b. m. Autor, znany z poczynnych batalistycznych powieści p. t. „Nagan” i „W polu”, przybył obecnie na Wybrzeże z zamiarem osiedlenia się tu na stałe. W ostatnim wieczorze w Sopocie, przedstawił licznie zebranym słuchaczom tajemnicę swej kuchni literackiej. Jego prelekcja na temat „jak powstaje powieść” obfitowała w równie szczerze, jak i humorystyczne momenty.

Z włościwą sobie swadą w sposób gawędziarski, nie szczędząc przy tym anegdotal i najintymniejszych, życiowych wynurzeń, scharakteryzował Rembek najzupełniej — w jego przekonaniu — prosty i łatwy stosunek pisarza do tworzonych przez niego powieści, odzierając proces ich powstawania z jakiegokolwiek „celebry”. Spowiedź autora, inna, całkowicie odmienna od słyszanych na ten temat wynurzeń, choćby niedawno Jarosława Iwaszkiewicza, czy Gołubiewa, graniczyła chwilami z niebezpieczną ekwilibrystyką sądów.

Według Rembeka, powieść nie jest literaturą, jak np. poezja, lub dramat. Stosując chwyt „na zimno”, każdy, jako tako wprawiony w pisarskim rzemiośle, przy użyciu tricków dla koniecznego zaciękania czytelnika, jak i posługując się plagiatstwem, t. zn. kopiowaniem dobrych wzorów z cudzych książek, zdolny byłby do napisania powieści, poruszającej „bebechy”, tudzież wyciskającej odpowiednią ilość łez u „szanownej publiczności”. Oczywiście, ożywiona po tej beceremonialnej, a nawet — jak to jeden z krytyków określił — cynicznej prelekcji dyskusja, skończyła się na wielu „ale” i „gdymby”, które ostatecznie postawiły słuchaczy w sferze wianych, domysłów wyobrażeń o literaturze i literatach.

W gruncie rzeczy, nie był to żaden referat p. t. „Jak powstaje powieść”. Raczej, słuchano się gawędy Rembeka (ilustrowanej fragmentami jego ostatniej powieści p. t. „Wyrok na Franciszka Kłosa”),

był dobrym, satyrycznym utworem, wcale zasługującym na to, aby, utrwalały jego wesołego felietonu, który sam w sobie rem, wzbogacił twórczość tego samego narratora.

Dodajmy że wieczory literackie w Sopocie posiadają obecnie „wyrobioną” publiczność. Licznie, do stu pięćdziesięciu osób, wypełnia ona w dalszym ciągu, co poniedziałek, sale Domu Literatów przy ul. Powstańców Warszawy 29. Duża to, przynajmniej, zasługa „Wieczorów dobrej książki”, które nieprzerwanie w ciągu dwóch lat ostatnich organizowane przez Klub Literacki przy Oddziale Gdańskim Z. Z. L. P., znalazły wśród społeczeństwa zwolenników, „literackich poniedziałków”. Obecnie, „Wieczory dobrej książki”, poświęcone omawianiu ciekawszych wydawnictw, przekształcił Oddział Gdański Z. Z. L. P. w odmienny typ imprez, o charakterze wieczorów autorskich, angażując bezpośrednio literatów do publicznych prelekcji, celem nawiązania jeszcze bliższego ich kontaktu z „świętym” czytelnikiem.

Imprezom tym sprzyjają zresztą szczególnie okoliczności. Do Sopotu zapowiadają swój przyjazd w bieżącym sezonie letnim kilku znanych pisarzy. W ostatnim czasie przyjechał tam już m. inn. Józef Sieradzki i Edmund Osmańczyk. W najbliższym czasie spodziewane jest również

przybycie znakomitego stylisty Jana Parandowskiego, prezesa polskiego P.E.N.-Klubu.

H. S.

Związek Zawodowy Artystów Plastyków w Szczecinie, postawił sobie trudne do zrealizowania zadanie ożywienia wytwórczości artystycznej na swoim terenie. Załącznikiem ma być „Poradnia Artystyczna i Wzorcownia”. Sama nazwa wyjaśnia przeznaczenie nowej placówki. Pewną prze-

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Laureat pierwszej Szczecińskiej Społecznej Nagrody Artystycznej

Laureat pierwszej Szczecińskiej Społecznej Nagrody Artystycznej — jeden z rozdawców swej pracy p. t. „Piastowski Grody Pomorza Zachodniego”, które były podstawą do przyznania nagrody, zaczyna tak:

„Nie wiem, wstyd to czy nie wstyd przyznać się, że do Szczecina, zanim został jeszcze 28 kwietnia b. r. zdobyty, ciągnął mnie nieprzepracowane, nie kto inny, lecz właśnie Lucas Cranach starszy, coppersmith nie czymś innym lecz obrazem siołańskiego księcia, naszego Piasta, zważającego się za Melanchtonem nam tak obco, bo Fili-

szkodą przy urzeczywistnieniu tego projektu są trudności natury finansowej, oraz zaniedbanie społeczeństwa w dziedzinie kultury plastycznej.

Nic dziwnego, że w tych warunkach większą pokupnością cieszą się wyroby, pod względem artystycznym mniej wartościowe, ale tańsze. Nie mniej ważną przeszkodą są pewne opory w środowisku samych artystów — plastyków, którzy są uprzedzeni do sztuki stosowanej, jako „zabawkowej”.

Zadaniem poradni jest właśnie pokonanie tych trudności i podniesienie poziomu artystycznego, wyrobów miejscowego rękodziela.

miłowanie ziemi. Dla Helosztyskiego ta ziemia stała się bliska, o wiele wcześniej niż dla każdego przeciętnego Polaka. Bo o tej ziemi pisał przecież jego ukochany — Gall Anonim — tajemniczy mnich opactwa lubińskiego, a Lubin, to znów pełne wspomnień miejsce urodzenia autora „Piastowskich Grodów”. Tak to przez prawie mityczną postać wielkiego dziejopisa Krzywoustego — Helosztyski związał się od najdawniejszych lat z tematyką odrzańską i zachodnią pomorską. Zbliżył się do postaci uwieńczonych na kartkach Gallusowej kroniki, aby później już samodzielnie śledzić tragiczne dzieje pobrańczego ludu, a teraz po wyzwoleniu, szukać jego śladów w zatartych napisach przastarych kościelnych płyt, w rodzimych dźwiękach nazw miejscowości, czy wśród żalonych, ocalałych szczątków nadleśskich Słowińców.

Ta miłość do kraju Pomorców przewija się przez wszystkie rozdzielające „Piastowskich Grodów”. Najciekniej może wyraził ją autor w doskonałym literacko wstępie do swej książeczki:

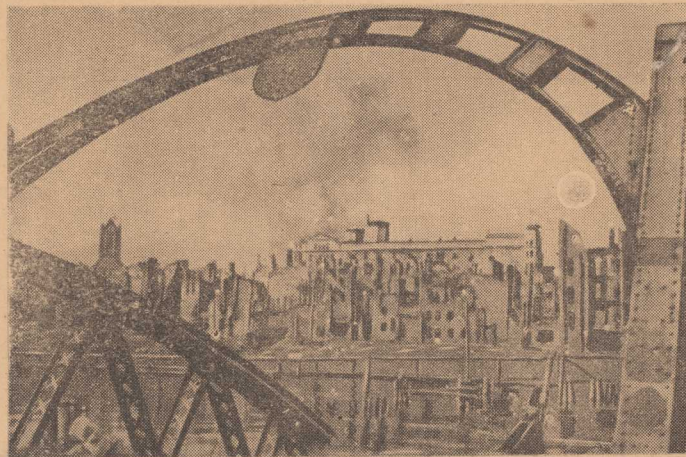
Nie ustanie otąd nigdy już ten wiatr od morza. Niesie na Polskę całą będzie wieść o kraju i o ludzie, o pracy jego i postępkach. Wzwywać będzie tych, co mocni, smiali i gotowi na trud i cierpienia, zdolni zwalczyć wszelki opór i odnieść zwycięstwo. Wiatr od morza wzywa tylko tych wybranych, co tu chcą głęboko osiąść w ziemi, tych co się zrodzili na pionierów.

Wiatr od morza woła cie w Nieznane, mówi ci jak Chrystus: „Młodzieńcze porzuć wszystko i idź za mną.”

Przyznanie Szczecińskiej Nagrody, poprzedziło ukazanie się najnowszej pracy Helosztyskiego p. t. „Od Szekspira do Joyce’a”. Jak wiadomo Helosztyski jest nie tylko poetą, krytykiem „ale i jednym z najświetniejszych anglistów. Ostatnio wydane, trzydziści jeden szkiców literackich, wprowadza nas w środowisko anglosaskie, pozwala posłuchać przyjacielskiej rozmowy autora z Szekspirem, Whitmanem, Galsworthym czy Joyce’em. Wszystkie te wielkości, dzięki talentowi autora pozbawiają się swej dostojnej sztywności i mówią nam o rzeczach i sprawach, pasjonujących każdego literackiego smakosza. Bogaty tematycznie materiał jest podany tak, że nie przytłacza czytelnika, nie ma w sobie nic ze sztafpowej obróbki krytycznej, ale przemawia do czytelnika najbardziej po ludzku, językiem zrozumiałym dla każdego i co najważniejsze — musi zainteresować. Autor naświetla nie tylko sprawy ściśle literackie „ale i społeczne, gospodarcze, kulturalne i polityczne, spełniając przez to rolę wszechstronnego i wnikliwego informatora, o tak trudnym jednak dla nas do rozgrzyżenia, człowieku z mglistej wyspy.

Zamieszczony na wstępie książki wykaz prac autora, obejmuje ogółem 36 pozycji. To jest już dorobek. Słusznie się stało, że ten dorobek został uczczony nagrodą i dobrze się stało, że nagrodą tą była — Nagroda Szczecińska.

JULIAN BORZYM



Widok z Łastowni przez zniszczony Most Poniatowskiego w Szczecinie

Następne wydanie
Tygodnika Wybrzeża
„SZCZECIN”
Ukaże się
jako numer podwójny
poświęcony

WYSTAWIE WROCŁAWSKIEJ

ERRATA

W numerze 99/100 tygodnika „Szczecin” w artykule A. Porojęcia w tytule i w tekście mylnie wydrukowano imię angielskiego podróżnika „Wulfstran”, podczas gdy winno być WULFSTAN.

ZAGADNIENIA-TYGODNIA

Zbliżamy się do połowy lipca. W świecie artystycznym przyjęto powszechnie uważać ten okres za koniec sezonu teatralnego.

Felieton nie jest miejscem, gdzie należałoby dokonywać podsumowania całorocznego osiągnięcia teatru, choćby nawet, jak w tym wypadku, było z góry wiadomym że sąd musi wypaść drugoczo. Zrobimy to przypuszczalnie w innej formie kiedy obszerne, rzeczowo, udowodnione czarno na białym, jak to w Szczecinie zmarowano i zaprzeczono, istnienie najważniejszej placówki kulturalnej.

Natomiast stanowiąc jest rzeczą felietonisty „trzymać rękę na pulsie spraw bieżących i bić na alarm wtedy, kiedy grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Wydaje się, że takie niebezpieczeństwo dla życia kulturalnego miasta — niestety kryje się w następnym sezonie teatralnym.

W swoim czasie, na konferencji u Naczelnika Wydziału Kultury, poinformowano nas, że formalne upaństwowienie sceny szczecińskiej odłożono do roku 1949 tj. do ukończenia budowy nowej sceny reprezentacyjnej. Poinformowano też, że obecna dyrekcja zatrzymuje jeszcze kierownictwo na sezon najbliższy jednak pod „opieką” przyszłego dyrektora. Panującego Teatru Polskiego w Szczecinie — A. Rodzińskiego. Nie uprzedzamy faktu, że może „opieką” ta, jak i może czynny nadzór Teatru Polskiego, Teatru poprawia to i owo

Ale nie zapomnijmy o jednym. Nic nie pomoże ani dyrektor Rodziewicz — bezsilnym się okaże Departament, jeśli nie poprawi się radykalnie sytuacja w obsadzie aktorskiej. A trudno i darmo pod tym względem do dyrektora Czosnowskiego nie możemy mieć zaufania.

Jest połowa lipca. Doroczne „kontrakty” aktorskie zakończono. Wszystkie, co teższe siły mają nowe umowy w kieszeni — pozostały bez chwilowego przydziału — jednostki słabsze.

Więci jakie dobiegają za kulis teatru szczecińskiego brzmią pod tym względem alarmująco. Zaangażowanie jednego z aktorów, ongiś o świetnym nazwisku, nie ratuje sytuacji, nawet gdyby nie było powszechnie wiadomo, że ta świetność należy do dawno pogrzebanej przeszłości.

Wiec czy powtórzyć się ma historia ostatniego sezonu, kiedy cały program w kładło się i dostosowywano do możliwości i fantazji jednej gwiazdy? Wiemy, że ten praktykowany przez dyrektora Czosnowskiego system właśnie położył cały ubiegły sezon, bo nie wszyscy — specjalnie lepsi aktorzy — chcieli się do niego dopasować. W ten sposób dyrektor Czosnowski stracił takie niezaprzeczone talenty jak Jerzy Słowiński, który jakoś dał sobie radę na scenach stołecznych, gdzie zbiera resztkę oklaski, jak Młocnicki, który był kolejnym emigrantem wraz z Zarebianką,

no i obecnie Fabisiak, który jednak miał dość tej domoworodzinnej atmosfery.

Czy wolno zapytać dyrektora Czosnowskiego kim chce zastąpić te ubytki? A kto przyjdzie z kobiet? No i najważniejsze, kto będzie reżyserem? Bo jedna, bezspornie doskonała i fachowo przygotowana Młodzieżowska rada sobie nie da, a zresztą właśnie dla tego, że to przygotowanie fachowe posiada — sama wie doskonale, że nie do wszystkich sztuk reżyserowania się nadaje.

Obecny kierownik literacki, objął swoje stanowisko w maju a więc w czasie kiedy pod względem repertuarowym nie uratować się nie dało. Dla tego też nie możemy go obarczać odpowiedzialnością za zakończenie sezonu, jednak chcielibyśmy

wiedzieć jak ta linia repertuarowa ma wyglądać na przyszłość.

Wiemy, że Wirpsza nie będzie miał „lutowego chleba”. Wiemy, że aby poprawić sytuację będzie musiał wykazać wiele u poru i silnej woli aby zahamować dotychczas praktykowaną huśtawkę — wieczorem decyzyja: „gramy napewno”, natomiast rano: „mowmy nie ma”, bo ktoś tam uszechomony się sprześciwił.

Słowa powyższe — może i ostre — poddyktowane zostały szczerą troską widza o swój teatr. Tego pokrzywdzonego szczecińskiego widza, którego tak systematycznie oduczało się od chodzenia do teatru i zniechęcało do sztuki.

H. A. RAP.

SZCZECIN TYGODNIK WYBRZEŻA

nie zwraca się. Oddział: Józef Lipski, GDYNIA, Portowa 8, Tel. 16-183. — PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 880 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm łamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetrząci 1 mm łamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, 1/2 str. 40.000 zł, 1/4 str. 25.000 zł.

KONTA: BGS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA” w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 — Hozozono w Państ. Szcz. Zakł. Graf. w Szczecinie ul. Św. Krzysztofa 7.

X-09084